



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 223

NISTY
IIK II i III



NOTATKI OSOBISTE
WŁADYSŁAWA
BENTKOWSKIEGO
Z ROKU 1863



NAKŁADEM
CENTRALNEGO
BIURA
WYDAWNICTW
N.K.N.

NOTATKI OSOBISTE
WŁADYSŁAWA BENTKOWSKIEGO
Z ROKU 1863



BIBLIOTECZKA LEGIONISTY
TOMIK II. i III.

POD REDAKCYĄ PROF. UNIW. JAGIEL.
DR. WACŁAWA TOKARZA

NOTATKI OSOBISTE
WŁAD. BENTKOWSKIEGO
Z ROKU 1863

223

leg. 105

BIBLIOTECZKA LEGIONISTY TOMIK II. i III.

NOTATKI OSOBISTE
W Ł A D Y S Ł A W A
B E N T K O W S K I E G O
Z R O K U 1 8 6 3

(Z 3 MAPKAMI I ŻYCIORYSEM AUTORA)

K R A K Ó W 1 9 1 6

NAKŁADEM CENTRALNEGO BIURA WYDAWNICTW
N. K. N.

ODBITO CZCIONKAMI DRUKARNI LUDOWEJ
W KRAKOWIE W MAJU 1916 ROKU

P R Z E D M O W A

Władysław¹ Bentkowski (syn Feliksa B., profesora uniwersytetu warszawskiego) ur. się w Warszawie dn. 24. IX 1817 r. Jako 13-letni uczeń liceum należał do gwardyi honorowej dyktatora Chłopickiego, znajdował się na polu bitwy pod Grochowem, a wreszcie wziął udział z karabinkiem w rękę w bitwie warszawskiej 7 i 8-go września 1831 roku. Wrażenia otrzymane w czasie tej wojny, wywrą wpływ na całe jego życie. Po upadku powstania zapisał się B. na wydział prawa w Królewcu i w r. 1839 otrzymał medal złoty za wyborną rozprawę o sejmach polskich. Pod wpływem nadziei z lat czterdziestych, „czując, że może nadejść chwila, w której będzie potrzebnym,... postanowił kształcić się praktycznie na żołnierza“. W roku 1843 wstąpił do piątej brygady artyleryi pruskiej w Poznaniu. „Do-

stać się do wojska pruskiego nie było wcale tak łatwą rzeczą, osobliwie dla cudzoziemca, mającego już wtedy wiek bardzo późny na ochotnika i fizyczność nie świetną. Robiono mu trudności; chociaż przy rewizyi wyprę-żał pierś ile mógł, auskultujący lekarz kręcił głową wątpliwie. Ale przewyciężył wszystkie zawady; doktorów i majorów ujął sobie ochotą swoją, rozumem i fantazyą i mógł wreszcie... przywdziać mundur"... W pół roku później został podchorążym, a po 2 latach podporucznikiem artyleryi dzięki „swej bajecznej obowiązkowości“. Utrzymywał zarazem gorące stosunki przyjacielskie z przywódcami ówczesnego ruchu demokratycznego w Poznańskim. W sierpniu r. 1845 B. wyjechał do szkoły artyleryi w Berlinie, gdzie przebył 2 lata, poczem złożył świetnie egzamin na porucznika. W czerwcu r. 1848 podał się do dymisji, a wiosną r. 1849 znalazł się w legionie polskim na Węgrzech. Dowodził tutaj baterią, w stopniu kapitana, później majora; bił się pod Isaszeg, Szegedynem i Temeszwarem. Podczas odwrotu na Orsowę B. osłaniał ze swą baterią

do ostatka cofające się wojsko węgierskie. „Raczej dam się zabić, aniżeli odejdę bez rozkazu“. Do r. 1850 przebywał B. na emigracyi w Turcyi, poczem wrócił do Wielkopolski, gdzie poświęcił się pracy dziennikarskiej i posłował przez 11 lat na sejm pruski. W r. 1863 złożył mandat poselski i pospieszył do obozu; odpokutował za to dwuletniem więzieniem. Służył potem sprawie publicznej w Wielkopolsce aż po dzień swego zgonu (2. X. 1887). Był to typ bardzo inteligentnego, niezwykle obowiązkowego i lubiącego swój zawód oficera polskiego, a zarazem i patrioty, zawsze gotowego do ofiary na rzecz Ojczyzny, do wszelkiej pracy dla niej.

Jego pamiętnik jest jednym z niewielu dowodów znajomości rzemiosła wojskowego u ludzi roku 1863. Przypomina on raczej świetną naszą literaturę wojskową z r. 1831. Wydajemy go tutaj w skróceniu, t. j. z opuszczeniem wstępu (o genezie dyktatury Langiewicza) i zakończenia, ograniczając się do części czysto wojskowej.

...Ukończywszy dnia 11 i 12 marca z rana moje kompanijne przygotowania, wyruszyłem tegoż dnia 12 przed południem do obozu Langiewicza, na bryczce Chrzanowskiego i w jego towarzystwie; miał on bowiem także różne interesa w obozie do załatwienia. Bryczkę wyładowałem bronią i ubraniami na konie, za bryczką zaś jechał luzak z trojgiem koni, dwoma wierzchowymi i jednym pod juki. Tymczasem na granicy austriacko-polskiej niekorzystne zaszły były od 24 godzin przemiany: celnicy austriaccy świeże otrzymali rozporządzenie nieprzepuszczania nikogo przez granicę bez legitymacyi i surowego baczenia, ażeby żadnych wojennych przyborów do Królestwa nie wprowadzano. Jadąc z Krakowa ku Michałowicom, spotykaliśmy wracające od granicy fury z powstańcami; wołali oni na nas, że nie przejedziemy, bo już Austriacy przez

rogatkę nie przepuszczają. Ponieważ jednak Chrzanowski miał pograniczną przepustkę i znał osobiście naczelnika austriackiego przykomórka, a ja pruski ministeryalny okazałem paszport, przepuszczono więc nas wraz z luźnymi końmi. Kto mógł i chciał z krakowskich ochotników, przekradał się bocznymi drożynami przez granicę. Komorę rosyjską w Michałowicach zajmowała jeszcze mała komenda z oddziału Langiewicza, ale dowiedzieliśmy się od niej, że Langiewicz już wczoraj Goszczę opuścił i obozuje gdzieś za Słomnikami i że rosyjscy kozacy zaczynają się znowu pomiędzy Słomnikami a granicą ukazywać. W takim składzie rzeczą ryzykowną było jechać dalej bryczką, bo pojedynczy kozak mógłby nas zabrać.

Przystanęliśmy więc gdzieś w zakryciu, pokulbaczyli luźne konie, uzbroili się w pałasze i pistolety, a ja przytem ubrałem się już zupełnie na kampanię. Konno tedy odjechaliśmy przez miasteczko Słomniki do Sosnowki, gdzie stał w tej chwili Langiewicz, za nami zaś bryczka z różnymi przy-

borami, które Chrzanowski wioził dla Langiewicza i luzak z trzecim moim koniem pod juki. W Sosnówce, gdzieśmy stanęli dobrze po południu, wszystko było w nieco świątecznym usposobieniu, bo przed południem odbywało się na polu, przy improwizowanym ołtarzu, uroczyste składanie przysięgi dyktatorowi przez wojsko; opowiadano mi, jako pomyślny *omen*, że w chwili przysięgania, zablęzło słońce z poza chmur i obok niego dwa inne pokazały się słońca, czy też jakieś inne podobne miraculum atmosferyczne. Główna kwatera Langiewicza mieściła się w małym dworku wsi Sosnówka i składała się z pokoju jeszcze mniejszego niż w Goszczy i przytykającego małego alkierzyka, gdzie tylko łóżko Langiewicza miało miejsce. Pokój był nabity sztabową i inną czeredą, tak że się ruszyć nie było można: byli tam prócz dyktatora Waligórski, Jeziorański, pan Tomasz, pułkownik Bończa, Michałek (Pustowojtówna), Tomczyński, sekretarz stanu przy dyktatorze dla spraw cywilnych, czterech adjutantów dyktatora, kilku adjutantów Waligórskiego,

kilku Jeziorańskiego, paru kancelistów i mnóstwo innych, to wchodzących to wychodzących figur, w kożuszkach, burkach, przy broni, o których, dla braku mundurów, zmiarkować nie mogłem, czemby byli i czego chcieli w głównej kwaterze. Około dworku, w sieni, w pokoju, ścisk, gwałt i rwetes do nieopisania. Dyktatora zaprzętało co chwila najbliższymi drobiazgami, któreby do jakiego feldfebla lub adjutanta należeć były powinny; to musiał co moment przykładać swoją pieczęć do kartek przepustnych z obozu, to decydować o przywiezionych kilku burkach i parach butów i t. d. Serdecznie mnie przywitał, mówiąc: „no rozgość się między nami, szefie“, ale ani sposobu było pomówić z nim spokojnie o służbie. Podszedłem więc do dotychczasowego szefa sztabu, p. Tomasza, prosząc, żeby mi zdał swój urząd, papiery i udzielił potrzebnych objaśnień. Ale pan Tomasz nic nie miał do zdania, nie potrafił nawet objaśnić względem istotnej siły i rozlokowania oddziału; zmiarkowałem tylko, że był duszą całej intendencji, że przez jego ręce

przechodziła żywność, furaz, odzienie, broń i t. d., i że w tym względzie był i nader czynnym i bardzo na swoim miejscu. Docisnąwszy się wreszcie na kilkuminutową z Langiewiczem rozmowę, chciałem przedstawić do jego aprobaty wypracowany przez dwa dni ostatnie projekcik organizacyi sztabu głównego, w zastosowaniu do wielkości i natury oddziału, o ilem go poznał był w Goszczy, oraz do natury wojny. Ale Langiewicz dość słuszną w takim wirwarze zrobił uwagę, żebym to do wolniejszej odłożył chwili. Nadmieniam tu zawczasu, że pomimo kilkakrotnie powtarzanych prób i usiłowań moich, ta wolniejsza chwila aż do końca tygodniowej naszej kampanii przedłużyła się. Natomiast zajęliśmy się kilku nominacyami na wyższe stopnie. Dyktator oświadczył mi, że pułkowników Waligórskiego i Jeziorańskiego mianował generałami d. 10 marca, równocześnie z ogłoszeniem się dyktatorem (okolicznościami prawie nakazana kompensata tym niegdyś udziałnym naczelnikom oddziałów, którzy nie bez pewnej zazdrości patrzali na raptowne

młodego swego kolegi wyniesienie), i że trzeba im formalne wygotować nominacje. Wygotowałem więc dosyć sumaryczne i obozowe patenta: Jeziorańskiemu na generała dyżurnego; Waligórskiemu na generała kwartermistrza (bo byli á la suite armii Langiewicza, bez żadnej udzielnej komendy, a trzeba im było jakieś wojskowe dać stanowisko); pułkownikowi Czapskiemu, dowodzącemu *en chef* kawaleryą Langiewicza, na brygadyera kawaleryi i generalnego inspektora kawaleryi, ze stopniem generalskim; pułkownikowi Śmiechowskiemu, na brygadyera piechoty, także ze stopniem generalskim; panu Tomaszowi (żeby mu nagrodzić utracone szefowstwo sztabu i uznać ciągle i wielorakie zasługi) na intendenta generalnego ze stopniem pułkownika. Wszystkie te nominacje nosiły datę 10 marca, w Gószczy, a lubo tego dnia tam obecny nie byłem, na życzenie dyktatora kontrasygnowałem je, jako szef sztabu, pod datą powyższą. Spytał wreszcie Langiewicz, jakiegobym ja sobie życzył stopnia? Odpowiedziałem na to, że niskiego stopnia dawać mi nie

wypada, ze względu, iż mi nieraz przyjdzie, z mego stanowiska szefa sztabu, wydawać dyspozycje oficerom ze stopniem general-skim; udzielanie mi zaś z kopyta wysokiego stopnia byłoby mi w duszy śmiesz-nem, a więc niemiłem; proponuję więc wo-bec takiego dylematu, żeby mi po prostu dać nominację na urząd, to jest na szefa sztabu, a kwestyę stopnia zostawić *in su-spenso* do późniejszych czasów. „Po kilku bi-twach“, rzekłem „pokaże się, czym co wart i com wart, a wtedy pomówimy o tem“. Lan-giewicz zgodził się na moje zdanie; pozosta-łem więc aż do końca jego dyktatury bez ściśle oznaczonego stopnia: w obozie na-zywano mnie, po urzędzie, szefem. Co do odznak, generałowie nosili trójkolorowe szarfy przez ramię i piersi, pułkownicy dwu-kolorowe (białe z czerwonym), ja miałem nosić amarantową szarfę, moi zaś adjutanci i adjunkci sztabu także przepaski u ramie-nia; ponieważ jednak amarantowej wstążki dostać nie było można, a nadarzyła się w dworku szeroka wstęga w kratki à la Walter-Scott, tę więc dla odznaki przy-

wdziałem i do końca nosiłem. Różnemi pytaniami, postrzeżeniami i poszukiwaniami, z biedą wykombinowałem, że armia Langiewicza mogła w tej chwili wynosić między 3000 a 4000 ludzi*); że ją składały: właściwy oddział Langiewicza i wcielone doń niedawno oddziały Waligórskiego, Jeziorańskiego, to wszystko co chwila znakomicie zwiększane napływającymi ochotnikami; że siły te rozpadły się na 2 pułki piechoty o 3 (imiennych) batalionach, na 2 pułki jazdy, na batalion zuawów czyli strzelców, na pluton artylerji (dwa maluchne działka z kutego żelaza, jednofuntowego co najwięcej kalibru) i na pluton saperów. Brygadą piechoty dowodził gen. Smiechowski, 1-szym pułkiem pułkownik Dąbrowski (rosyjski oficer), 2-gim pułkiem pułkownik Czachowski; brygadą kawaleryi dowodził generał Czapski, jednym pułkiem pułkownik Ulatowski; nazwy dowódcy drugiego pułku jazdy, oraz artylerji i sa-

*) Później nieco pokaże się, że ta cyfra była za wielką, gdyż w istocie siły nie dochodziły 3.000 ludzi.

perów nie pomnę w tej chwili. Batalionem zuawów, których mogło być stu kilkudziesięciu do dwustu, dowodził pułkownik Rochebrune. Zuawy, oraz jeden batalion w każdym pułku pieszym były mniej więcej w niezłą broń palną opatrzone; reszta nosiła kosy i piki. Kawalerya była stosunkowo najlepiej uzbrojona, umontowana a nawet jako tako umundurowana; każdy jeździec miał lancę, pałasz i pistolet. Prócz tego był doborowy oddziałik (z 20-tu, zdaje mi się, ludzi złożony) tak zwanych gwałtygierów; wszyscy na koniach, doskonale uzbrojeni, i albo z inteligentnej młodzieży, albo nawet z oficerów dawniejszych podobierani. W teoryi miała to być policya obozowa, pilnująca porządku w obozach i marszach; w praktyce posługiwał się dyktator gwałtygierami, jak polowymi swymi adjutantami i używał ich do wszystkiego, do czego zaufanych, wykształconych i zdeterminowanych ludzi było potrzeba. Dodać do tego należy tabor z kilkudziesięciu złożony wozów; na kilku wozach mieściły się: bagaże dyktatora i głównej kwatery, drukarnia polowa,

apteka; na kilku bagaże różnych pułków i oddziałów; na kilku amunicya; reszta dźwigała zapasy chleba, mięsa, mąki, żywności i furazu. Z pobocznych służb, do składu armijki a pod zwierzchnictwo i zarząd szefa sztabu głównego należących, wyliczyć wypada: 1. Audytoryat polowy. Ten był w zupełnem rozprzężeniu; dotychczasowy sztabs-audytorski właśnie był odszedł, czy też gdzie się zapodział; żadnego kodeksu wojskowego, żadnych krótkich artykułów wojennych czy powstańczych, żadnych stałych norm nie było. Zbierały się podobno czasami sądy wojenne; skazywano i wieszano, mianowicie chłopów krakowskich, co z Moskalami trzymali; ale wszystko to odbywało się wedle każdorazowego natchnienia i widzimi się improwizowanych sędziów; karność wewnętrzna nadzwyczaj była rozluźniona, czyli raczej żadnej stałej nie było; wszystko się kupy trzymało dobrą wolą indywiduów, lub dowolnem i doraźnem srożeniem się i karceniem ze strony pojedynczych dowódców. W takim stanie rzeczy zaraz tego wieczora wyszu-

kałem i przedstawiłem do nominacyi na sztabsaudytora jakiegoś młodego prawnika z uniwersytetu wiedeńskiego czy też innego, nazwiskiem Kraus (zdaje mi się), który bez tego zawadzał tylko jako ochotnik, bo lichej był kompleksyi i broni nie miał. Poleciałem mu ułożyć bezzwłocznie projekt krótkich artykułów wojennych i projekt najsumaryczniejszego, ale jakiegokolwiek unormowanego i jednostajnego postępowania przy sądach wojennych. 2. Służba zdrowia. Młodych lekarzy przy pułkach nie brakło; sztabś-lekarzem był dr. Bukowiecki, młody doktor z uniwersytetu wrocławskiego. Materiały apteczne były na furgonie, a nawet świeżo przywiózł był Chrzanowski kompletne aparaty do amputacyi i t. p. Pomimo to służba zdrowia szła bardzo lichy, dla prostej przyczyny, że nie mając nigdzie, gdzieby chorych i rannych odsyłać lub zostawiać było można, odsyłało ich się do Krakowa, póki komunika-cya z tem miastem była otwarta, potem zaś, zostawiało się ich po wsiach na boskiej opatrności, lub wlokło za sobą na pod-

wodach, żeby uchronić od dostania się w ręce kozaków. 3. Służba duchowna. Kapelanów pułkowych i oddziałowych, to jest zakonników i świeckich księży maszerujących z oddziałem, nie brakło, ale przez cały ciąg mego pobytu w obozie nie było ani razu nabożeństwa, ani modlitwy wspólnej, dla prostej przyczyny, że w nieustannych forsownych marszach czasu na to niebyło*). 4. Intendentura. Żywności dla wojska dostarczali albo okoliczni obywatele, albo się ją przywoziło z Krakowa; głównie chodziło o dostanie potrzebnej ilości upieczonego chleba, bo piekarni polowej nie było. Furaz rekwirowało się z sąsiednich dworów, bo chłopów z zasady oszczędzano, nic nigdy od nich nie rekwirując. Całą tą partią zarządzał pan Tomasz. Odzienie i buty także głównie z Krakowa przychodziły, gdzie Langiewicz miał osobnych komisan-tów i agentów, jako to Meisla, Lewkowi-cza. 5. Płatnika sztabowego ani kasy od-

*) Sztabskapelanem czyli naczelnym kapelanem armii Langiewicza był ksiądz Kamiński.

działu nie było, gdyż ani oficerowie ani żołnierze żołdu nie brali; za rekwizowaną żywność i furaz zwykle bony się tylko dawały, a z krakowskimi swymi agentami i komisantami sam się Langiewicz rachował. Co było publicznego grosza lub wpływu w monecie (zwykle w papierach), Langiewicz w osobnej torebce przy sobie nosił i stąd zdarzające się wydatki gotówką opędzał.

Nadszedł tymczasem wieczór; Chrzanowski na bryczce do Krakowa odjechał, a pojawili się natomiast w głównej kwaterze dwaj nowi ochotnicy bracia Borzysławscy (Galicjanie rodem), którzy konno i zbrojno z Krakowa przez granicę się przedostali. Obaj służyli do ostatnich czasów w wojsku włoskiem; starszy, Karol, dzielny kawalerzysta i z miny rębacz nielada, był podpułkownikiem w konnym gwardyjskim pułku Genova Cavaleria; młodszy, Władysław, był podporucznikiem w konnym węgierskim legionie w służbie włoskiej. Karol Borzysławski był niegdyś kolegą i przełożonym Langiewicza w neapolitańskiej kampanii Gari-

baldego; skoro więc fama o wzmagającym się powstaniu i cudach waleczności dokazywanych przez oddział Langiewicza do Włoch doszła, porzucili obaj służbę włoską, by służyć ojczyźnie i szukać wojskowej karyery w szeregach narodowych. Langiewicz serdecznie ich przyjął i w głównej kwaterze tymczasowo umieścił; dla podpułkownika Borzysławskiego nie miał już w swojej małej armii odpowiedniego stanowiska, zostawił więc go tymczasowo przy sobie, *à la suite* sztabu, do szczególnych poruczeń; młodszego, Władysława, zamianował kapitanem i dodał mi za adjutanta. Mając tym sposobem doskonałego adjutanta polowego, wybrałem sobie jeszcze młodego człowieka wykształconego, Gaczyńskiego, który nie wiedział, co ze swoją figurą w obozie robić, na adjunkta sztabowego do ekspedycji piśmiennych; ponieważ jednak później nie było ni czasu ni miejsca do najkonieczniejszego nawet pisania, używałem go więc także do posługi polowej. Chciałem się, jak naturalna, zaraz tego wieczora gruntownie objaśnić co do

ogólnych dyspozycy j wojskowych naszego obozu, co do naszego stanowiska, względnie nieprzyjaciela, i dalszych Langiewicza planów; ale jużto, że m nie mógł wcale w ciągłym wirwarze głównej kwatery przyjść do dłuższej a spokojnej z nim rozmowy, jużto, że Langiewicz albo żadnych ogólniejszych nie miał może planów, albo też nie chciał mi ich powierzać, dosyć, że m się tyle tylko dowiedzieć i wymiarkować zdołał, że dyktator myśli jeszcze parę dni w Sosnowce zabawić, bądźto dla lepszego zorganizowania swojej armijki, bądźto dla ukończenia pertraktacy j z Krakowem względem organizującego się tamże rządu cywilnego. Do obu tych celów potrzeba było wolnej z Krakowem komunikacy j; żeby więc ją utrzymać, zachowany był jeszcze polski posterunek w Michałowicach, taktyczną zaś łączność tego posterunku z oddalonym o parę mil obozem w Sosnowce utrzymywał nieco silniejszy posterunek pośredni, w pobliżu Słomnik, w karczmie przydrożnej stojący; dowodził nim major Koskowski (młody oficer z rosyjskiego woj-

ska). W bezpośredniem swoim sąsiedztwie miał obóz dyktatora rosyjską załogę Miechowską, około półtora tysiąca do dwóch tysięcy wynosić mogącą. Służbę przedniej straży obozu naszego, w pole wysuniętej, miał tego wieczora od strony Miechowa, Rochebrune z żuawami, wszelako stał on wraz z jądrem oddziału kwaterą we wsi i tylko pojedyncze plutony w polu na straży stały. — Dobrze już było pod wieczór, kiedy przyniosła posyłka od Rochebruna do głównej kwatery piśmienne jego żądanie dysmisji; jednocześnie odsyłał dyktatorowi swoją szarfę, oznakę dowództwa. Za powód przytaczał Rochebrune w podaniu, że żołnierza z jego oddziału, który się był dopuścił krnąbrności przeciw swemu dowódcy, złożony dni poprzednich sąd wojenny nie skazał na śmierć, ale na jakąś lekką karę. Langiewicza dosyć mocno zniecierplawiło to podanie; zapytał mnie jednak o radę, co czynić. Znając impetyczność Rochebruna i chwilowe drażliwości wojskowych z rzemiosła, a przytem bardzo wysoko ceniąc służbę tak energicznego, walecznego

i gorliwego, jak Rochebrune, oficera, ra-
dziłem zrobić wyjątek i jeśli nie prosić go,
co nie wypadało, to przynajmniej starać
się rzecz załagodzić. Langiewicz przystał
na to. Poszedłem więc sam, z trudnością
ciemnym wieczorem drogi szukając, do kwa-
tery Rochebrune, żeby mu dąsy z głowy
wybić. Uderzyło mnie przeciwieństwo nie-
ładu i wirwaru głównej kwatery oraz kwa-
ter polskich dowódców, z porządkiem mili-
tarnym kwatery Rochebruna: przede drzwia-
mi chłopskiej chałupy stał żuaw na szyl-
wachu, w sieni czuwał adjutant, w izdebce
zaś chłopskiej siedział sam Rochebrune
u stolika improwizowanego z deski opartej
na dwóch próżnych beczkach i przeglądał
przy świetle łożówki w butelce w spokoju
i z uwagą dzieńne raporta i służbowe pa-
piery. Zacząłem przemawiać do jego ro-
zumu, do serca: tłumaczyłem, że wyroku
sądu wojennego, chociażby ten był niewła-
ściwym, nie może on kłaść dyktatorowi
na karb; wystawiałem, w jak fałszywym
stanie świetle, wśród niebezpiecznej kampa-
nii usuwając się ze służby dla wielkiej dra-

zliwości i t. d., ale wszystko napróżno, bo Rochebrune zaciął się w gniewie czy uporze i powtarzał, że słowa swego nigdy nie cofa, że zresztą nie umie służyć tam, gdzie nie masz karności i t. d. Po półgodzinnej blisko konferencji wróciłem z niczem do głównej kwatery i zdałem Langiewiczowi sprawę z wypadku mojej misji. Dyktator słusznie zniecierpliwiony na Francuza powiedział: „toć prosić go się nie będziemy; kiedy nie chce zostać, niechże sobie idzie“; ja wciąż jeszcze medytowałem nad sposobem zatrzymania tak cennego oficera; wreszcie Langiewicz zdał całą rzecz na mnie. Kazałem sobie wtedy dać protokoły i akta tej sprawy i sądu wojennego, a przekonawszy się, że cały ten sąd na najnaiwniejsze laborował nieformalności i niewłaściwości (i tak n. p. należało do jego składu 5 czy 6 osób; każda z nich na inną opiniowała karę, jedni na śmierć, inni na translokację do innego pułku i t. d., a wkońcu prezydujący pułkownik Dąbrowski, rozstrzygając i godząc niby to zamieszanie zdań, orzekł ostatecznie małą jakąś karę,

za którą żadne zdanie w sądzie nie było się objawiło), oparłem na tem plan mój zatrzymania Rochebruna, przez puszczenie rzeczy w odwłokę; odpisałem mu więc zaraz tego wieczora na jego podanie o dymisyę, że zanim nastąpi stanowcza odpowiedź co do dymisyi, musi wyrok sądu wojennego, na którym jego żądanie polegało, dojrzałej uledz w sztabie głównym rewizyi, gdyż potwierdzonym być nie może i ulegnie zapewne kasacyi, dla pogwałcenia najelementarniejszych formalności; zanim zaś rewizya wyroku i udzielenie mu żądanej dymisyi nastąpi, winien on bieżącą dalej pełnić służbę, ku czemu zwraca mu się służbową szarfę. Langiewicz podpisał, a ja, odesławszy ekspedycyę przez ordynansa, szarfę Rochebrune'owi odnieść kazałem, dla udobruchania go taką uwagą, przez jednego z adjutantów głównej kwatery. Plan mój zupełnie się udał. Rochebrune zaczął niby tymczasowo aż do udzielenia dymisyi służbę dalej pełnić; tymczasem dni następnych nie było już czasu wśród ciągłych forsownych marszów do my-

ślenia o rewizyi wyroku, tem samem do poruszania kwestyi dymisyi, o której zresztą sam Rochebrune po kilku dniach, ochłonawszy z pierwszego afektu, zupełnie zdaje się zapomniał. — Kiedy się już dobrze na noc miało, naniesiono słomy do izdebki, stanowiącą główną kwaterę, i układliśmy się do snu, ilu się nas w izbie zmieścić mogło, to jest: Waligórski, Jeziorański, dwaj Borzysławscy, Michałek (Pustowojtówna), ja i paru adjutantów. Langiewicz spał w przyległym alkierzyku. — Nadmieniam jeszcze, że przed udaniem się na spoczynek, ale ciemnym już wieczorem, Langiewicz i cały sztab oprowadzali jakichś korespondentów zagranicznych gazet, którzy z ciekawości przybyli do obozu dyktatora, po biwakach piechoty rozłożonej w lesie opodal ode wsi; kosynierzy urządzili rodzaj illuminacyi ze słomy na ten obchód, tak, że korespondentom w istocie malowniczy przedstawił się widok dyktatorskiego obozu.

Dnia 13 marca o świcie otrzymaliśmy raport od Rochebrune'a, że w ciągu nocy

wysunięty naprzód ku Miechowu posterunek żuawów był atakowany przez garstkę posuwających się od Miechowa ku naszemu obozowi Moskali. Zamieniono kilkanaście wystrzałów, od których jeden żuaw poległ, a 4 czy 5 rany odniosło. Moskałe, napotkawszy czujność i opór, cofnęli się. Ponieważ noc bardzo była ciemna, nie można było zmiarkować, w jakiej podstąpili sile i co właściwie zamierzali. Zdaje się, że mając zamiar z rana coś przeciwko obozowi przedsięwziąć, chcieli go w nocy zaalarmować, albo też wymacać po ciemku, jak daleko nasze posterunki wysunięte. — Ponieważ ranek bardzo był mglisty, niceśmy więc od strony Miechowa podejrzanego dojrzeć nie mogli. — Chcąc jako tako zaradzić ciąglemu natłokowi rozmaitych oficerów i powtańców w głównej kwaterze i płynącemu stąd nieładowi, ustanowiłem z przyzwoleniem dyktatora osobnego komendanta głównej kwatery, który bezpośrednio miał pod swymi rozkazami pół plutona piechoty, komenderowanego na służbę do głównej kwatery. — Wybrałem na to rozgarnionego

i energicznego oficera i stosownie dałem mu instrukcyę. Skutek pokazał, że niewiele to pomogło, bo nieład, osobiste zgłaszanie się do Langiewicza w każdej bagateli i powstańcze braterstwo, zbyt mocno były już zakorzenione. — Postrzegłem, że Tomczyński (zdaje mi się urzędnik z Radomia) pełni przy dyktatorze funkcję przybocznego sekretarza do cywilnych spraw dyktatorskich. — Wygotowałem kilka poleconych mi przez Langiewicza nominacyj (n. p. Mielecki, dowódzca oddziału w Kaliskiem, otrzymał stopień pułkownika) i kilka poleceń organizowania powstania w sąsiednich powiatach; osób, które wysłano z temi zleceniami, już nie pamiętam. — Około 8 z rana powstał w obozie alarm; donoszono od przednich straży ku Miechowu wystawionych, że Moskale się zbliżają. Wszystko zaczęło w pośpiechu pakować wozy, siodłać konie i t. d. Wyjechaliśmy nieco w pole dla zobaczenia, co się dzieje, ale gęsta mgła na kilkanaście kroków nic rozróżnić nie pozwalała. Ponieważ pozycja nasza we wsi nie była obronna, kazał więc Langiewicz

cofnąć się całemu wojsku do lasu, tuż przy wsi, na wschód położonego. Krawędzie lasu, całkiem zresztą niewielkiego (bo go w godzinę w koło można było objechać) obsadzono od strony wsi i od strony Miechowa, a więc od zachodu i północy, piechotą. Jazda i artylerya stanęły u wschodniej lasu krawędzi, tabor z wozami na drodze ku Raławicom na wschód prowadzącej; Rochebrune z żuawami zajął owczarnię, stanowiącą węgiel wsi od strony Miechowa. Oglądałem te różne posterunki; jeden Rochebrune tylko na najniebezpieczniejszem postawiony miejscu zimno, z rozwagą i znajomością rzeczy rozstawił swoich ludzi; wszystko tchnęło tam determinacją i wojskowem wyrobieniem; wszędzie indziej przebijała bezradność, nieznanomość elementarnych prawideł rzemiosła i nieodłączny od tego rodzaj popłochu, lubo wszystkie oddziały pełne były ludzi indywidualnie mężnych, poświęconych i zdeterminowanych. Na takim oczekiwaniu Moskali w leśnem naszym stanowisku zeszło parę godzin, ale Moskali wciąż widać nie było.

Koło 11 z południa, kiedy już mgła opadać zaczęła, wyjechawszy nieco z lasu ku Miechowu, postrzeżono zdala wyciągnięte linie tyralierów rosyjskich, postępujących wolniutko w otwartym polu, czy też stojących w miejscu. Dawali też od czasu do czasu pojedyncze strzały na wiatr. Od strony wschodniej lasu, gdzieś się chwilowo z całym niemal sztabem (prócz Langiewiczza i paru jego adjutantów, którzy gdzieś na inny punkt naszego stanowiska byli pojechali), oraz z kawaleryą i artylerią znajdował, zaczęły się także wynurzać na horyzoncie pojedyncze postaci kozaków, czy dragonów nieprzyjacielskich. Ponieważ jednak lekka falistość gruntu bardzo ten horyzont ograniczała i niewiadomo było, czy się i stamtąd poważna siła nieprzyjacielska nie zbliża, skoczył p. pułkownik Borzysławski ku pierwszemu oddziałowi naszej jazdy, wzywając, żeby pluton wyjechał ku owym kozakom aż do wzgórka, skąd rozleglejszy otworzył by się widok. Czy nasza jazda nie uznawała Borzysławskiego za dostatecznie wylegitymowanego

do dawania sobie rozkazów, czy myślała, że żąda od niej szarży w otwartem polu na nieprzyjaciela, dość, że się nikt nie ruszył. Wtedy Borzysławski poskoczył napowrót ku naszej kupce sztabowej i zawołał: „Kto ma dobrego konia, do szeregu panowie!“, sformował na prędcie ściśniętą linię z nas 8 lub 10 jeźdźców i zakomenderował: „Dobyc szabel! marsz, marsz!“ Ruszyliśmy tedy cwałem wprost na owe nieprzyjacielskie konne postaci, które co prędzej pierzchnęły. Wyjechawszy na wzgórek, ujrzyliśmy, że pole przed nami wolne od nieprzyjaciela; owych kilku kozaków podsuwało się z tej strony ku naszemu stanowisku widocznie tylko dla rekonensansu lub zaalarmowania. Wróciliśmy tedy w pobliże kawaleryi i artyleryi. Około południa, kiedy widoczne już było, że Moskale odstąpili od zamiaru atakowania nas, przygotowanych znalazłszy, i ku Miechowu się cofnęli, nakazał dyktator całemu swemu wojsku ruszyć w pochód na wschód, ku Raclawicom. Ponieważ na dobre opuściliśmy obóz nasz w Sosnowce i w nie-

wiadome jeszcze szliśmy strony, dla niewiadomych mi bliżej celów militaryjnych, trzeba więc było ściągnąć owe posterunki, w karczmie przy Słomnikach i na komorze w Michałowicach stojące. Wysłał więc Langiewicz zaufanych ludzi z odpowiednimi rozkazami do tych oddziałików. Tym sposobem pozbawiliśmy się podstawy militaryjnej Krakowa; jakoż od tego dnia bezpieczne i ciągłe nasze komunikacye z Krakowem i Galicyą ustały, bo kozacy zaczęli się znów snuć pomiędzy naszym głównym oddziałem, a granicą austryacką. — Maszerowaliśmy dzień cały ku wschodowi, przez Nasiechowice i w pobliżu Raławic. Chwil wolnych w ciągu marszu użyłem do bliższej służbowej rozmowy z nowym sztabaudytorem, ze sztab-lekarzem i sztab-kapelanem. Sztab-lekarz uskarżał się na utrudnienie, które sprawiają w obozie i marszach syfilistyczną chorobą zarażeni ochotnicy: co chwila to służby czynić nie mogą, to żądają urlopów do Krakowa, to znowu przy przerwanych komunikacyach trzeba ich wlec za sobą na podwodach, żeby ko-

zakom w ręce nie wpadli. Ponieważ ta plaga coraz to częstsza się stawała, stanęło na tem, żeby od czasu do czasu odbywać rewizye lekarskie, jak się to w regularnych dzieje wojskach i podobnej rewizyi poddawać zgłaszających się ochotników. Srodek ten nie przyszedł wszelako, dla bezustannych marszów, w wykonanie. Sztabskapelan (ks. Kamiński) uskarżał się znowu na poniżenie kapelanów w obozie: że nie dostają kwater, że nie wiedzą nigdy, gdzie się przytulić. Zaradziłem temu. Ponieważ miało się już ku wieczorowi i ludzie bardzo byli zgłodniali (nie gotowali bowiem dnia tego, stojąc od samego rana na stanowisku, a potem wciąż maszerując) i pomęczeni, zdecydował dyktator, że zanocejemy we wsi Marchocicach. Polecilem komendantowi głównej kwatery, żeby się przeniósł na czoło kolumny marszowej (a kolumna ciągnęła się z wiorstę drogi) i wyprzedzając cokolwiek wejście wojska do wsi, wybrał główną kwaterę i obsadził ją. Tymczasem ciemna się już noc zrobiła, a myśmy wciąż się wlekli po bocznych,

tłustych i marcową pogodą popsutych drogach, wozy i podwody grzęzły, łamały się, wywracały, tamując pochód, lub rozrywając kolumnę. Przebywając potem jakąś zagłębianą drogę i mokry lasek, takeśmy się porozrywali i pogubili wśród ciemności, że jeden o drugim nie wiedział. Zeby co chwila nie rozbijać się o drzewo, lub nie wpadać w rowy, trzymałem się na oślepie moim koniem ogona poprzedniego jakiegoś konia; jak mi się ten przewodnik o kilka kroków usunął, jużem toru znaleźć nie mógł. Brnąc z kilkoma innymi instynktowo na przełaj przez krzaki, opłotki, rowy i pola, dostałem się wreszcie ciemną nocą do Marchocic. Od chwil kilku był już tam Langiewicz, a większa część oddziału poprzedziła go, roztasowując się powoli; część piechoty rozłożyła się biwakiem w ogrodzie dworskim około głównej kwatery. Sam dworek, od właścicieli opuszczony (została tylko jakaś gospodyni), zajęli samowolnie, pomimo oporu komendanta głównej kwatery, różni powstańcy, co się pierwsi po ciemku do wsi dostali. Trzeba

ich było groźbą i niemal przemocą rugować, żeby zrobić miejsce dla dyktatora i sztabu. Byliśmy strasznie znużeni całodzienną konną jazdą i uciążliwym marszem; każdy więc ułożył się, jak mógł, w izbie dworku i coprędzej zasnął.

O świcie dnia 14 marca wyszliśmy przed dom i ku wsi, żeby się rozpatrzyć, gdzie właśnie obozujemy. Pokazało się, że dwór i wieś leżą w kotlinie, nad którą bezpośrednio panują wzgórza, jużto odkryte, jużto zarosłe i dochodzące na strzał karabinowy do dworu; przytem dwór przedzielony był ode wsi głębokim rowem, czy też małym strumykiem o spadzistych brzegach, przez który parę tylko wąskich mostków było rzuconych. Nadto na armatni strzał ode wsi, ku północy, biegła wzdłuż grzbietu wzgórza świeżo zbudowana szosa od Miechowa do Szkalmierza, a i w Miechowie i Szkalmierzu stali Rosyanie. Dyktator miał zrazu ochotę odbyć tu dniówkę, żeby dać ludziom wypocząć i cośkolwiek jadła sobie zgotować. Rozpatrzywszy się jednak w położeniu miejsca, w towarzy-

stwie Waligórskiego, Jeziorańskiego, Czachowskiego, Smiechowskiego i mojem, przyszedł do przekonania, że trzeba co prędzej tak niebezpieczną opuścić pozycję, bo lada oddział kozacki, szosą przypadkiem jadący, mógł nas postrzedz, a w razie lada ataku piechoty rosyjskiej, nie mieliśmy ani gdzie się rozwinąć, ani swobodnego nawet wyjścia z tej kotliny. Zapowiedziano więc rozrzuconym po wsi oddziałom, żeby się ludzie do gotowania jadła nie zabierali, ale stawali pod broń i do wymarszu. Gdzie pomaszujemy? jeszcze dyktator nie był zdecydowany. Na różnych namysłach, korowodach, powolnem zbieraniu się oddziałów zeszło kilka godzin czasu. Tymczasem zjawił się major Koskowski, który, ściągawszy stosownie do rozkazu dnia poprzedzającego posterunek w Michałowicach (u granicy) i swój własny pod Słomnikami, dopytał się naszej drogi i przymaszerował nocą do Marchocic. Zameldował mi, między innymi, że dwóch konnych powstańców z oddziałku Michałowskiego, młody Delavaux, Galicya-

nin, i młody Hartig (czy coś podobnego), Litwin, postawieni na nocnej wedecie u granicy, zbiegło z posterunku z bronią i końmi, jak się zdawało, za granicę do Krakowa. Dla dania przykładu wobec bardzo luźnej karności całego oddziału, ogłosiłem ten wypadek rozkazem dziennym do wojska, gdzie wymieniwszy obu zbiegów z nazwiska, powiadałem, iż nie mogąc ich, jak zasłużyli, ukarać rozstrzelaniem, wyrzeka się na nich kara śmierci moralnej. Poleciałem zarazem, żeby przesłano ten rozkaz dzienny do wydrukowania w „Czasie“; co jednak dla przerwanych ciągle z Krakowem komunikacyj nie nastąpiło. Ponieważ jednak rozkaz dzienny czytany był całemu wojsku Langiewicza, wieść o nim rozeszła się więc w parę tygodni potem w Krakowie. Pomimo to, zrobiono w parę miesięcy później owego Delavaux oficerem w konnym oddziale Bończy, a Hartig był oficerem w oddziale Jeziorańskiego w Lubelskiem, gdzie się podobno niezwykle odznaczył walecznością. Obaj ci młodzi ludzie tłómaczyli się podobno między swymi zna-

jomymi tem, że będąc zarażeni, a nie mogąc otrzymać urlopu z obozu, sami go sobie dali. Ogólnie też miano ich w gronie krakowskiej młodzieży powstańczej za wytłómaczonych, a mnie przesadzony przypisywano pedantyzm wojskowy. Przytaczam ten szczegół, jako charakteryzujący ówczesne wyobrażenie o karności wojskowej i wojskowym honorze. — Kiedym się zabierał opuszczać dworek w Marchocicach, gdzieśmy byli przenocowali (ostatecznie sztab tylko w nim nocował), zabiegła mi drogę z płaczem zostawiona w tym dworku gospodyni, skarżąc się, że nie wie jak się wytłómaczy przed nieobecnem państwem, bo odbito zrana szafkę kredensową i wszystkie srebra zabrano. Ponieważ już podczas marszu dnia poprzedniego z boleścią serca dostrzegałem bardzo luźne pomiędzy wielu powstańcami wyobrażenia co do granic przymusowego rekwirowania pierwszych potrzeb życia, a zupełnego nieszanowania cudzej własności, nakazałem więc teraz sztabaudytorowi i kilku gwałtygierom natychmiastowe wzięcie pod wartę

podejrzanego o ten gwałt porucznika od żuawów i najsurowsze śledztwo. Tu już nadmieniam, że się po kilku dniach poszukiwań dosyć uciążliwych, bo czynionych wśród ciągłych marszów i utrudnianych przez powszechne dla rabusiów pobłażanie, wykazało, iż ów oficer od żuawów stosunkowo najmniej był winien przed wewnętrznym trybunałem honoru. Przyszedł on był o świcie do dworu, żądając młynka czy piecyka od kawy; gospodyni odpowiedziała, że zamknięte w kredensie, a ona klucza nie ma; na to ów oficer wyłamał pałaszem drzwi od szafki i wziął młynek; różna zaś włócząca się bezustannie koło dworu i we dworze hałastrą powstańcza, ujrzawszy drzwi wyłamane i srebra w szafie, rozebrała je pod pozorem, że ten potrzebuje łyżki, ów widelca i t. d. Istotnie winnych rabunku, ani też zabranych sreber odkryć jednak nie było podobna. — Skłoniłem jeszcze tegoż samego dnia dyktatora do wydania rozkazu dziennego, zapowiadającego karę śmierci na każdego, któryby się we własnym kraju na

własnych ziomkach dopuścił rabunku przedmiotów nienależących do pożywienia. Żeby zaś tem bezwzględniej i słuszniej mózdz przeprowadzić tak surowe zagrożenie, skłoniłem jednocześnie Langiewicza, żeby pozwolił ogłosić wojsku, iż odtąd prości żołnierze stałą pobierać będą płacę; gdyż w istocie nieco za idealne było żądanie od mnóstwa zgłodzonych, zziębionych, po części obdartych biedaków, z jednej strony, żeby nigdy złamanego grosza nie dostawali, z drugiej, żeby święcie szanowali cudzą własność. Ponieważ Langiewicz tych pieniędzy, które nosił z sobą, nie miał nawet sposobności na co wydać wśród marszów, nie można więc było ich właściwiej użyć. Przedstawiała się trudność rozpląty, przy braku srebra i drobnych; rozwiązałem ją, proponując, żeby naznaczyć płacę żołnierza (oficerowie i nadal mieli nic nie pobierać) po 20 gr. pols. dziennie i żeby ich płacić dziesięciodniowo z góry; tym sposobem każdy dostawałby co dekadę okrągło rubla papierowego. Postanowienie to ogłoszone zostało w rozkazie dziennym

zaraz tegoż samego, czy też następnego dnia; ale z samą wypłatą nie tak gładko poszło. Żeby ją móżdź skutecznie na ręce pułkowników, trzeba było naprzód wiedzieć dokładnie ilość ludzi w każdym pułku i oddziale. Zgłosiłem się natychmiast o taki najsumaryczniejszy choćby wykaz do pułkowników i dowódców; alem się przez parę dni doprosić nie mógł, bo żaden nie wiedział, zdaje się, dokładnej liczby swych ludzi, a wśród bezustannych marszów aż w późną noc do rachowania i spisywania nie wiele było czasu. Wreszcie w Chrobrzu powyduszałem od wszystkich karteczki z mniej lub więcej porządnym spisem ludzi. Zesumowawszy wszystko razem, okazało się, wedle podania pułkowników i dowódców, wszystkich prostych żołnierzy w całej armii Langiewicza dwa tysiące dziewięćset kilkadziesiąt, czyli około 3.000. Poleciałem intendentowi, ażeby owe dwa tysiące dziewięćset kilkadziesiąt rubli wziął od dyktatora i dowódczom powypłacał; ci mieli znów bezzwłocznie swoim ludziom wypłacić. Zdaje się, że nie wszystkim mu-

siało czasu starczyć na tę dość prostą zresztą operację, bom się potem nieraz spotykał z powstańcami ówczesnej armii Langiewicza, którzy stanowczo twierdzili, że nigdy żadnego nie dostali żołdu; w innych znów pułkach lub batalionach dostali wszyscy po rublu, jak było na nich z kasy Langiewicza wypłacono.

Wracam teraz do przerwanej opowieści wymarszu z Marchocic dnia 14 marca z rana. Około 9 z rana wyruszyła wreszcie cała nasza kolumna w kierunku zachodnio-północnym. Dyktator, nie czując się bezpiecznym w tej bezleśnej okolicy, miał zamiar przerzucić się w dosyć rozciągle lasy, ciągnące się na zachód szosy z Miechowa do Jędrzejowa. Punktem wytycznym obecnego naszego marszu był Xiąż Wielki, miasteczko położone przy rzeczonyj szosie. Maszerowaliśmy dzień cały wśród różnych drobnych, ale zajmujących epizodów, w które jednak nie sposób się dla braku czasu i miejsca wdawać, przez jakąś wieś Góry (ale nie Góry Jul. Dembińskiego, o których będzie mowa pod dniem 16 marca),

Kalinę i inne z nazwiska mi niepamiętne. Parę razy zatrzymaliśmy się śród drogi na kwadrans lub pół godziny dla wytchnienia żołnierzom, lub napojenia koni; gotować jednak wojsku nie dano (zresztą też kotłów nie było), robiąc mu nadzieję, że tam, gdzie na nocleg staniemy, będzie mogło zjeść co ciepłego. Słońce miało się już ku zachodowi, kiedyśmy docierać zaczęli w poblizę szosy i Miechowa (od strony północnej); już się nawet zaczynał ów las rozciągać, przez szosę Miechowsko-Jędrzejowską przerżnięty.

Do Xiąża Wielkiego jeszcze było daleko i widocznie moglibyśmy dojść tam znów dopiero w ciemnej nocy. Pojawiło się też ąjłku okolicznych obywateli przywożących nam parę wozów upieczonego chleba i różnej żywności. Nadjechał także na bryczuszce zaufany szpieg wojskowy Langiewicza. Był to żyd cywilizowany, po niemiecku się noszący, o szpakowatych już włosach, z wyschłą śniadą twarzą i ruchawemi, ognistemi oczyma. Nosił za pasem pod surdudem dwie króćce. Podobno żadnej za-

płaty od Langiewicza nie przyjmował i zdawał się mieć zupełne dyktatora zaufanie. Dyktator zawsze sam na sam z nim konferował. Był to może człowiek wielkiego poświęcenia; mnie jednak, który go bliżej nie znałem, wpadło na myśl po dniach kilku, czy to przypadkiem nie jest szpieg na dwie strony, jak się to często między szpiegami zdarza. Naprowadziła mnie na to podejrzenie okoliczność, że donosił zwykle Langiewiczowi o tem, o czem i bez tego mogliśmy się niebawem dowiedzieć; w innych zaś rzeczach niedokładnie albo mylnie objaśniał. Zjawiał się on każdego niemal wieczora na swej bryczuszce w naszym obozie i zabawiwszy czas niejaki u dyktatora, nocą wyjeżdżał. Teraz na polance w pobliżu lasu zaczęły się pogadanki i narady, do których i owi obywatele okoliczni i ów szpieg po części należeli. Cała kolumna marszowa stanęła, kawalerya z koni dla wypoczynku pozsiadała. Rozkładano na ziemi karty specjalne topograficzne, śledząc granic i połączenia owego kompleksu lasów, pytając o wodę dla koni itd. Ja

głupi byłem na to wszystko; zrobiłem tylko uwagę, że na nic się nie zda włązić do lasu, bo za dzień lub za dwa dla braku wody i żywności będzie trzeba z niego wyleść. Zresztą, wiedząc z wczorajszej praktyki, jak dalece w lesie ginie wszelka spójnia większego oddziału i wszelka możliwość kierowania i komenderowania, tam, gdzie się tylko o kilka kroków widzi, miałem wogóle wstręt do leśnej taktyki. Tymczasem słońce zaszło i trzeba było koniecznie co prędzej na cośkolwiek bądź się zdecydować. Dyktator zdecydował się wreszcie, żeby zanocować tuż przy szosie, w lesie, u którego krawędzi staliśmy. Zlecił mi wyznaczyć i rozłożyć obóz, wyraźnie powtarzając, że chce przy samej szosie nocować. Poprosiłem *honoris causa* generała Wali-górskiego, jako kwatermistrza generalnego i oboźnego, żeby ze mną ku szosie podjechał i wszystko rozporządził, ale przekonałem się, że poczciwy i zacny ten starzec wcale nie do tego. Powtarzał tylko, na koniu wśród lasu, stojąc u brzegu szosy: „No dobrze! dobrze! to zanocujemy tu“.

Tymczasem nasza trzytysięczna armijka stała porozrzucana w polu i na drodze, czekając rozkazów i wskazania, gdzie, kto i jak ma się obozem rozłożyć. Połapawszy tedy różnych konnych gwałtygierów i adjutantów na pomocników, wytknąłem cztery linie w lesie, o dwadzieścia kroków od szosy, po wschodniej jej stronie, tuż przy karczmie szosowej Antolką zwanej, z frontem ku szosie zwróconym i na dwieście kroków długim. W najpierwszej linii od szosy miał stanąć pierwszy pułk piechoty, w drugiej drugi pułk, w trzeciej kawalerya, a w czwartej tabor wozów. Po między liniami zostawiłem odstępy 40 kroków. W karczmie samej oraz w domostwach naprzeciw niej, po drugiej stronie szosy rozrzuconych, miał się rozłożyć oddział żuawów. Zaczęły wreszcie pojedyncze oddziały zajmować wyznaczone sobie stanowiska, ale działo się już to o dobrym zmierzchu, a więc w wielkim nieporządku. Mianowicie wozy nie mogły się śród drzew i zarośli, a przytem po ciemku, w ładzie i porządku ustawić. Wywracały się, łamały,

przejsie innym zawalajac. Improwizowany nasz oboz byl o cwierc mili tylko od Miechowa, gdzie mocna stala zaloga rosyjska, i tuz przy szosie z tego miasta prowadzacej. Kazalem wiec jeszcze Rochebrunowi wystawic na samej szosie posterunek od strony miasta i drugi, od strony Jędrzejowa, ktorzyby poczcie i podróznym jadacym do Miechowa zawracać ku Jędrzejowu kazal, zeby sie Moskale w nocy o nas nie dowiedzieli i nie zaalarmowali w tak fatalnej leśnej pozycji. Prócz tego kazalem obsadzić boczną drogę, wiodącą na tyłach naszych przez las ku Miechowu, mocnym oddziałem piechoty. Ciemno juz bylo kiedy wreszcie ludzie zalegli obozem w lesie; ale ze z powodu bliskości Moskali dyktator surowo ogni palic zakazal, a w lesie bylo zimno i mokro, zgłodniali, przeziębli i pomęczeni ludzie nieszczęśliwy mieli wypoczynek. Dyktator, a z nim duza część sztabu udali się do przydrożnej karczmy Antolki; izba gościnna pełna była żuawów, spróbowaliśmy wiec w przyległym ulokować się alkierzu, gdzie stalo jedno łózko, stół

i stołek; słomy nie było, świeca jedyna już dogorywała, zaduch był straszliwy. Kiedy wreszcie świeczka zgasła, a Langiewicz zaczynał drzemać na łóżku, nie mogąc znaleźć w tej ciemnej i zadusznej dziurze żadnej znośnej pozycyi dla upadających ze znużenia członków, wróciłem do lasu i układłem się pod sosną w topniejącym śniegu.

Dnia 15 marca o świcie, kiedym zziębły i przemokły udałem się do karczmy do dyktatora po rozkazy, Langiewicz nie był jeszcze zdecydowany, co robić, widoczną jednak było, że wypadało nam się coprędziej z naszej szczególnej pozycyi wynosić, bo Moskale zapewne się już przez noc o naszej bliskości dowiedzieli i gdyby nas nad ranem atakowali wszystko poszłoby w rozsypkę. Od myśli zapuszczenia się w lasy Xiąża Wielkiego dyktator odstąpił; postanowił wreszcie spiesznym marszem odsunąć się od niebezpiecznego Miechowa i podążyć ku lesistym i nieco wzgórkowatym okolicom za Nidą, czyli w Stopnicie. Przychodzącym do głównej kwatery dowódcom pojedynczych oddziałów, do-

wiadującym się, czy ludzie mogą zabierać się do gotowania, powiedział: „Ofiarowaliśmy Moskwie bitwę, stawiając jej się tuż pod nosem, zlekła się i nie przyjęła, więc pokazawszy, że się jej nie boimy, w inną ruszymy stronę i to natychmiast“. Ogni więc nie rozpalano i cały obóz zaczął gotować się do wymarszu. Jakoż około 8-mej z rana wyruszyliśmy napowrót na wschód, przez Tuchułów, ku Giebułtowi. Kiedyśmy około jedenastej z południa dochodzili już niemal do Giebułtowa, widząc w dole rozrzuconą wieś wśród rowów, ogrodów i parowów (Giebułtów leży bowiem w kotlinie, a mniej lub więcej strome, i mniej lub więcej bliskie wzgórza do około wsi panują), ludzie ze wsi ku nam drogą idący poczęli ostrzegać, że we wsi są Moskale i że strasznie tam gospodarują; coś bliższego od tak prostych i do widoku wojska nienawykłych ludzi trudno się było dowiedzieć; odpowiadali na pytania o liczbę, że jest ich „chmara“, „straszna moc“, „wiele tysięcy“, „pieszo i na koniach“. Ponieważ kombinując różne Moskale stanowiska i ru-

chy ich dni ostatnich, nie można było przypuszczać, ażeby we wsi na uboczu położonej, wśród dróg popsutych, mogło co więcej być, jak rekonesansowa lekka kolumna z kilku kompanij i cośkolwiek kozaków; ponieważ dalej ludzie ode wsi przychodzący opowiadali jakieś dziwy o strasznym rozlewie krwi przez Moskali dokonanym, postanowił Langiewicz dalej ku Giebułtowu maszerować i przeważną swą siłą zgnieść lub przynajmniej wypędzić Moskali. Po takiej zapowiedzi wszystko jak dawniej ku Giebułtowu postępowało, to jest w kolumnie marszowej czyli kiszce rozciągniętej przeszło na wiorstę drogi, mającej dwóch lub trzech ludzi frontu, poprzecinanej taborem wozów, oddziałami jazdy i t. d. Przedstawiłem tedy dyktatorowi, że w takim marszowym szyku wieś atakując, na najniechybniejszą wystawiamy się porażkę, ile że przystęp do niej pełen zarośli, domostw, parowów, łatwo przez tyralierów nieprzyjacielskich mógł być broniony. „No, to wydaj odpowiednie rozporządzenia“, odparł dyktator. Zabrałem się

tedy co tchu do ustawienia naszej armijki w szyk bojowy, odpowiadający położeniu i celowi. Na skrzydłach kazałem się kompaniom strzeleckim, rozsypanym w tyraliery, spuszczać ku wsi przez górujące nad nią gaje i zarośla. Część piechoty w linię się rozwinęła, reszta miała z tyłu w kolumnach jako rezerwa postępować. Jazda i artyleria odpowiednie zajęły stanowiska, batalion kosynierów pozostał na straży przy taborze na naszych tyłach. Wszystkie szykowania szły dosyć uporem dla zupełnego prawie niewyćwiczenia żołnierza w obrotach i dla wielkiej niezaradności wyższych oficerów. Krzycząc w ten sposób przeszło pół godziny na silnym marmocowym wietrze, a mając przytem z przebytej na zimnie i wilgoci nocy, płuca przeziębione, zupełnie wkońcu zachrypłem. Kiedy już wszystko było do ataku uszykowane i tyralierzy nasi ku wsi się spuszczała, inni ludzie ode wsi przybywający donieśli, że się Moskale drugim końcem z Giebułtowa wynoszą. Dyktator posłał natychmiast oddział ułanów, który zwra-

cając się w bok i przez pola podążając, miał uchodzącym Moskałom odwrót odciąć a przynajmniej zakłócić, od frontu zaś oddział piechoty, z plutonem ułanów na przdzie, spieszonym krokiem do wsi wkra-
czał. Wszelako w bok posłany oddział jazdy nie mógł już zdążyć na odcięcie Moskali, gdyż byli już oni wyszli od półgodziny inną boczną drogą ku szosie Miechowsko-Jędrzejowskiej. Wpadłszy do wsi za naszym przodowym plutonem ułanów, spostrzegłem ich krzątających się około kilku strasznie porąbanych ciał ludzkich; były to trupy kilku naszych ułanów i do niepoznania porąbane i spiekłą krwią okryte ciało wojażującego agenta broni, angielsko-polskiego żyda Funkensztejna. Rzecz z tymi porąbanymi ludźmi miała się jak następuje: Dnia poprzedniego, kiedyśmy ku Antolce maszerowali, przyprowadził dziedzic Giebułtowa, Bielski, swego młodego syna do Langiewicza, powierzając mu go jako ochotnika; a że młody Bielski zupełnie już był umontowany i uzbrojony, wcielono go zaraz do pułku ułanów.

W kilka godzin po swoim wstąpieniu do powstańczego wojska, kiedyśmy się rozkładali obozem w lesie pod Antolką, młody Bielski wobec perspektywy zimnej, wilgotnej i niewygodnej nocy, prosił dowódcy szwadronu o urlop na całą noc do domu, do Giebułtowa. Dowódca szwadronu odmówił oczywiście, bośmy prawie w obliczu nieprzyjaciela nocowali. Wtedy młody Bielski, zaprosiwszy jeszcze kilku młodych ułanów na herbatę do domu rodziców, z ciemnej korzystając nocy, samowolnie z nimi do Giebułtowa pokłusował, odmowę rotmistrza za niesłychaną poczytując tyranią. Znalazł się także na herbacie w Giebułtowie wojażujący za bronią agent rządu narodowego, czy też prywatnych spekulantów, Funkensztejn, żyd polski, w Anglii oddawna osiadły, i za angielskim jeżdżący paszportem. Tymczasem wysłana w ślady nasze z Miechowa mała kolumna rosyjska, pod dowództwem mego imiennika, rosyjskiego majora Bentkowskiego, złożona z dwóch rot, czyli dwóch kompanii piechoty i nieco kozaków, ścigając nas

zdaleka dnia poprzedzającego, dowiedziała się pod wieczór, czy też w nocy, o obecności Funkensztejna i kilku zbrojnych powstańców w Giebułtowie; zjawili się więc tam nad ranem niespodzianie. Rozjuszony żołdactwo porąbało okropnie Funkensztejna i owych kilku ułanów, tych ostatnich na śmierć; chciano i właścicieli dworu wymordować i dwór spalić, grożąc swemu własnemu majorowi karabinami i w oczymu przy ludziach wyrzucając, że musi być z buntownikami w porozumieniu, kiedy ich oszczędza. Młody Bielski uszedł śmierci, w kobiece ukrywszy się suknie. Koniec końców kolumna ta, nie wiedząc nawet o naszym zbliżaniu się, a posłyszawszy, żeśmy w okolicy Miechowa nocować musieli, wyruszyła krótko przed naszym wejściem do Giebułtowa inną drogą z tej wsi ku szosie Miechowskiej. — Funkensztejn po opatrzeniu jego 25 ran, po większej części pałaszami w twarz i głowę zadanych, odesłany został do Krakowa. Widziałem go w parę miesięcy potem; był już prawie wygojony, przytem jako pod-

dany angielski otrzymał od Moskali 10.000 funt. szterl. wynagrodzenia za swoje poturbowanie. — Po przebyciu Giebułtowa i wdrapanie się na dość strome i dla naszych wozów zaledwie dostępne wzgórza przeciwne, pomaszerowaliśmy dalej na Xiąż Mały ku Zaryszynowi. Już słońce zachodziło, kiedyśmy do wsi Zaryszyna przybyli. Dyktator postanowił tu zanocować, bo i konie i ludzie strasznie byli pomęczeni i głodni. Rozporządziwszy odpowiednie straże i posterunki w około wsi i obozu i zleciwszy generałowi dyżurnemu (Jeziorańskiemu) dopilnowanie ich rozprawienia, udałem się z Langiewiczem do głównej kwatery we dworze. Liczna familia właściciela wsi na wpół była nam rada, na wpół strwożona losem, jaki ją czeka, kiedy za nami kozacy do wsi wpadną. Właściciel, żeby się zakryć wobec Moskali, prosił Langiewicza, żeby mu na piśmie zostawił rozkaz dostawy żywności i furazu dla powstańców pod karą śmierci; co też dyktator uczynił. Ja ledwo już głosu dobywałem z zaziębionych płuc i zupełnie

ochryplego gardła; pojawiła się też i gorączka. Dyktator nie był jeszcze zdecydowany co do kierunku marszu dnia następnego; rozbieraliśmy i układali projekt niespodzianego napadu na Stopnicę, obsadzoną przez dwie tylko rosyjskie kompanie piechoty i szwadron dragonów, pod dowództwem majora Zwierowa*). Mocno popierałem ten projekt, żeby raz przecie zaprawić żołnierza młodego do zaczepnego boju i walki w otwartym polu; przytem prawdopodobne nasze zwycięstwo przy tak znacznie przemagających siłach podniosłoby wyczerpującego się i upadającego nieco ducha żołnierza i stłumiłoby coraz to bardziej i głośniejsze nurtujące w obozie intrygi i narzekania licznych zwolenników Mierosławskiego, a niechętnych Langiewiczowi. Projekt ten jednak spełził na niczem, w du-

*) Czy też Gawryłowa. Ilekroć więc później, mianowicie w opisie bitwy pod Grochowiskami, wymieniam nazwisko komendanta załogi Stopnickiej, wypada powtarzać sobie w myśli niniejsze zastrzeżenie, bo nie pamiętam już, które z tych dwóch nazwisk należało mu się.

żej części wskutek wypadków dni następnych.

Dnia szesnastego marca o świcie dał dyktator rozkaz, żeby wszystko gotowało się do wymarszu. Zanim się różne nasze oddziały z kwater powybierały, z posturunków pościągały i w marszową ustawiły kolumnę, zeszło parę godzin. Przez ten czas Langiewicz przemyślał sam w sobie, jak to najczęściej czynił, bo mało był w wojskowych rzeczach udzielający się, lub też naradzał się tylko z tymi, co go otaczali, dokądby maszerować. Stańto wreszcie, że pociągniemy dnia tego aż do Zaworzy, miejsca podobno w lesistem i górzystem położeniu, a więc obronnego, że tam w bezpieczeństwie wypoczniemy, uporzędkujemy i podćwiczymy zlurowane nasze wojsko, nie wyrzekając się w zupełności zamierzonej wczoraj na Stopnicę wyprawy, która i z Zaworzy da się uskutecznić. Czy Zaworza leży z lewej czy z prawej jeszcze strony Nidy, tego już dziś nie pamiętam. Kiedym zrobił uwagę, że do Zaworzy jest blisko cztery mil drogi i że

doświadczeniem dni poprzednich nauczeni, powinniśmy krótszy marsz sobie naznaczyć, żeby raz przecie nie pociemku wkra-
czać do stanowiska noclegowego, odpowiedział Langiewicz, że powstańcy powinni i ośm mil dziennie robić, kiedy potrzeba. Zostało więc przy Zaworzy, jako punkcie wytycznym dzisiejszego naszego marszu. Wytknąwszy odpowiednią marszrutę na Przesławkę, Góry (Juliusza Dembińskiego), Młodzawy i t. d. i zakomunikowawszy ją generałowi dyżurnemu i pułkownikom, kazał wyruszyć około godziny ósmej lub dziewiątej zrana z Zaryszyna. Rochebrune'owi, który jedyny z pomiędzy pułkowników szedł wciąż pieszo, nie mogąc konia dostać, pożyczyłem aż do chwili, gdzieby mu skarbowego dano konia, jednego z moich dwóch wierzchowców; mego zaś konia jucznego, który miał dźwigać w skórzanych jukach papiery sztabowe, mapy i najpotrzebniejsze mi podręczne bagaże, darowałem jednemu z pieszo chodzących adjutantów generała Jeziorańskiego, ponieważ nie było już tak rychłego wi-

doku, żeby mi Chrzanowski mógł przysłać z Krakowa przyobiecane na tego konia skórzane juki. Niedaleko Przesławki, około godziny dziesiątej zrana, połączył się z nami przybywający z Krakowa agent wojskowy Langiewicza, kapitan Gierzkowski i przyprowadził ze sobą kilkunastu zupełnie umontowanych i uzbrojonych konnych ochotników, jakoteż kilka wozów z różnemi wojennemi potrzebami i zapasami. Błądził on przez dwa dni za nami, wyslizgując się kozakom, wreszcie trafił do nas. Bezpośrednio po przybyciu Gierzkowskiego odezwał się Langiewicz do nas kilku, jadących właśnie koło niego, że odebrał (nie wiem czy przez Gierzkowskiego, czy inną drogą) zawiadomienie od policyi narodowej z Warszawy, iż niebawem mają przybyć do jego obozu dwie agentki rosyjskie z Warszawy (nazwisk już nie pomnę) w celu zabicia go, czy też otrucia, że mu nawet przysłano ich rysopis i fotografie. W kwadrans może potem dano znać, że przybywa od strony Krakowa (być może zresztą, iż przybyła jednocześnie z kolumną Gierzkow-

skiego) bryczka z dwiema młodemi, po męsku przebranemi kobietami, które zmierzwały do nas. Po przekonaniu się z fotografii, że to były właśnie owe dwie, przez policję narodową zapowiedziane damy, Langiewicz polecił je aresztować i zrewidować najściślej. Rewizya odbyła się w przydrożnej chałupie, lecz nic zgoła podejrzanego u tych dwóch pań nie znaleziono. Co się z nimi potem stało, nie wiem; to tylko pamiętam, że na najbliższym noclegu w Chrobrzu uwijały się one, po męsku ubrane, wśród adjutantów i sztabu, po pokoju dyktatora, pijąc wino i herbatę. Były to młode i niebrzydkie kobiety. Kiedyśmy około południa dochodzili do Gór (majątku Juliusza Dembińskiego, synowca generała Henryka Dembińskiego, gdzie później znalazł śmierć Bończa) zjawił się skądś na bryczce doktor Łukaszewski, Poznańczyk, znany mi z Berlina jako żarliwy członek ruchu. Przywoził on różne listy Langiewiczowi, mianowicie list Bakunina do dyktatora. Zeby się spokojniej z Łukaszewskim rozmówić, pokłusował Langiewicz, a z nim

sztab ku wsi i wyprzedzając nieco czoło rozciąglej bardzo naszej kolumny, która z półgodziny albo i więcej potrzebowałaby do przeciągnięcia przez wieś, zatrzymał się na trawniku przed pałacem i zsiadł z konia. Zsiedliśmy także. Niebawem wyszła z pałacu jakaś gospodyni (sami właściciele w Krakowie przebywali podówczas), zapraszając dyktatora na śniadanie do pałacu. Kiedy jednak Langiewicz oświadczył, że do pałacu nie wnijdzie (zapewne żeby nie wzniecać zazdrości i nieukontentowania w przeciągających mimo pałacu głodnych i zmęczonych powstańcach i nie dawać innym pochopu do zatrzymywania się podobnie i wchodzenia do pałacu, co, jak doświadczenie uczyło, prowadziło często do nieprzyzwoitych scen zabierania różnych drobiazgów z tytułu niby rekwizycji i potrzeby żołnierskiej) — wyniosła też gospodyni na przedpałacowy trawnik stół, parę krzeseł i parę butelek starego węgryna. Tymczasem zwiększało się około Langiewicza grono różnych dowódców i oficerów, którzy puszczając dalej swe od-

działy, chwilę się przy nim zatrzymywali. Langiewicz wziął kilka z dopieroco odebranych od doktora Łukaszewskiego papierów i podając mi je rzekł: „Zobacz też szef, co mi tam piszą?” Jednym z tych papierów był niewyraźnie nabazgrany francuski list Bakunina, zachęcający dyktatora do utworzenia legionu rosyjskich ochotników. Ale w miarę przeciągania powstańców koło pałacu mnożyły się usiłowania, żeby wejść do niego pod pozorem wyszukania pożądanego posiłku dla ludzi i furazu dla koni. Dla zapobieżenia łatwo przewidzianym skutkom, ile że przechodzący żołnierze i wielu oficerów szemrali w głos, iż Dembiński jest Moskał, Austryak, zdrajca (ma on jakąś Wielopolską za żonę), po co więc go oszczędzać i t. d., wkwaterował się intendent generalny, p. Tomasz, sam do dolnej sali pałacu i postawiwszy u drzwi warty, zamknął się wewnątrz i tam porządkowo rozpisywał rekwizycją furazu, chleba i t. p. Po upływie godziny, kiedy już prawie koniec naszej kolumny koło owego trawnika przeciągał, nastąpiły z wną-

trza mieszkania znowu jakieś zaprosiny na zgotowany tymczasem obiad czy też ciepłe śniadanie. Langiewicz rzekł wtedy: „Wszyscy naraz się tam nie zmieścimy: pójdę więc teraz z połową posilić się, a potem zluzuje nas druga połowa“. Kiedy wzywał mnie, żeby iść z nim, nie chcąc wojska wciąż dalej maszerującego pozostawiać bez nikogo starszego, odpowiedziałem, że wolę poczekać, aż on się posili i do kolumny powróci. Zostałem więc z kilku innymi oficerami na trawniku. Tymczasem godziny upływały i już wreszcie cała nasza kolumna taboru, wozów nie wyjmując, powoli przez wieś była przeciągnięta. Niespokojny o nią w nieznaney mi otwartej okolicy i chwilowo prawie bez dowódców, a nie mogąc się doczekać wyjścia dyktatora i tych, co z nimi byli, z pałacu, lubo strasznie głodny wsiadłem na koń, pogalopowałem za kolumną. Przebiegając ją od końca aż do czoła, nader przykrego doznałem wrażenia. Kolumna ciągnęła się w otwartem zewsząd polu, przynajmniej z jakie pół mili; jeden oddział stawał i spo-

czywał, drugi szedł dalej; pomiędzy jednym a drugim bywały czasem odstępy na pół wiorsty; wyższych oficerów prawie wcale przy wojsku nie było; żołnierze i niżsi oficerowie w głos szemrali i przeklinali; strofowałem i uspakajałem, jak mogłem. Przybywszy do czoła kolumny i ukończywszy tam gwałtowną scenę, gdzie żuawi powiesić chcieli przytrzymanego na bryczce jakiegoś rządcę dóbr Wielopolskiego, pod pozorem, że to musi być szpieg (oddałem go pod straż, zlecając audytorowi zbadać nie rzeczy), kazałem się czołu zatrzymać, jużto dla wypoczynku ludziom, jużto żeby dać się kolumnie połączyć i doczekać się powrotu Langiewicza i wyższych oficerów. Pokłusowałem znów ku końcowi kolumny, ale dyktatora nie było jeszcze widać, pojedynczy tylko oficerowie i jeźdźcy nadciągali galopem od Gór, jak się zdawało, dobrze podochoceni i wioząc ze sobą po parę butelek wina. Wróciłem napowrót ku czołu i dalej maszerować kazałem. Tymczasem słońce miało się już ku zachodowi. Kiedy u czoła kolumny postępując, docho-

dziłem do najbliższej wsi na naszej drodze (zdaje mi się, że to była Młodzowa, ale z pewnością nie pamiętam) słońce już było zaszło. Do Zaworzy bardzo jeszcze było daleko i oczywiście nie zdążylibyśmy już tam tego wieczora, w części dla pomęczenia i głodu ludzi, którzy wciąż tylko suchy chleb pogryzali, w części, że maszerując pociemku na nieznanym bocznych drogach, nadzwyczaj powoli się postępuje. Kazałem więc czołu kolumny zatrzymać się u wniścia do wsi, jednego z adjutantów wysłałem ku końcowi kolumny, żeby zobaczył, czy dyktator już nie nadjechał z generałami, sam zaś z kilku ułanami i oficerami wjechałem do wsi, żeby się rozpatrzyć, czyby w niej nie można było bezpiecznie z wojskiem zanocować. Ale pozycja była najniekorzystniejsza na obóz powstańczy w pobliżu nieprzyjaciela. Wieś leżała w parowie, do koła lekkie wyniesienia całkiem odkryte; nigdzie lasu, ani gaju, żeby w razie napadu i prawdopodobnego popłochu, schronić się i rozprószonych zebrać. Wysłałem więc drugiego

adjutanta ku dyktatorowi, żeby mu objawił moje zdanie i prosił o decyzję i kazałem części kolumny przebyć wieś i po drugiej jej stronie na drodze się zatrzymać. Podczas przeciągania wojska przez wieś, zsiadłem sam na chwilę z konia dla odpoczynku przy przydrożnym kościele, gdzie się też dosyć włościan miejscowych, kobiet i dzieci było zgromadziło, z ciekawością, niedowierzaniem i strachem patrząc na przeciągające hufce powstańców, których jeszcze nie widzieli. Młodzi chłopcy wcale się nie pokazywali, starzy z pokorą trzymali zdjęte czapki; dzieci strachały się zrazu i uciekały, ale je udobruchałem; najśmielsze, najrezolutniejsze i widocznie najprzychylniejsze były wiejskie kobiety. Wieś ta należała do klucza Wielopolskiego. Znalazł się też przy mnie niebawem jeden z kapelanów naszych, kapucyn zdaje mi się Konański, czy coś podobnego; (ten sam którego Moskale później w Warszawie powiesili) i zaczął gorąco do wiejskiego ludu perorować, krucyfixem wywijając; niestety! widocznie był sobie za dużo poprzednio

z manierki pociągnął. Na różne jego zapytania i wykrzykniki do ludu, czy chcą umierać za ojczyznę, że pan ich (Wielopolski) jest zdrajca, że Moskali trzeba wypędzić i t. d., starzy chłopci, kłaniając się czapkami do kolan i drapiąc w głowę, odpowiadali: „Alboż my to wiemy, Dobrodzieju, co prawda i co robić trzeba; jedni nam gadają tak, inni znowu inac; my prości ludzie i na tem się nie rozumiemy“. Nadjechał wreszcie dyktator z generałami i sztabem; potwierdził zdanie moje, że tu nocować nie podobna. Rozpytawszy się o dalszą drogę i wsie okoliczne, wyszukawszy dobrych przewodników do nocnego marszu, uradziliśmy, że dociągniemy tego wieczora do innej wielkiej wsi Wielopolskiego (zdaje mi się Wojśławice, Wojnowice, czy coś podobnego), która tylko trzy ćwierci mili miała być odległą, w wodę opatrzoną i mogącą mniej więcej cały nasz oddział od biedy pomieścić. Dyktator udał się z przewodnikami do czoła kolumny, żeby ją w marsz poruszyć; ja zostałem w środku, żeby dojrzeć krytycznego zawsze przemar-

szu przez wieś i przeszkodzić rozłazeniu się kolumny po wsi za żywnością i napitkiem, oraz możliwym nadużyciom. W ciągu dalszego marszu pozostałem w środku kolumny, czasem ku jej końcowi dojeżdżając. W ciągu marszu dowiedziałem się z opowiadań pana Tomasza i innych, co byli w pałacu w Górach pozostali, że dosyć tam wina przy obiedzie wypito i że się w końcu wkradło nieco nieporządku, tak, że różni oficerowie i powstańcy całą bardzo doborową piwnicę Dembińskiepo rozebrali, a nawet pounosili ze sobą kilka drobnych upominków z pałacu. Ci co się najbardziej do potrzeby jakiejś wymówki poczuwali, opowiadali z oburzeniem, jaki to niegodziwy Polak ten Dembiński, kiedy nawet w sieni swego pałacu umieścił na kamieniu złotego rosyjskiego czy austriackiego orła dwugłowego. (Był to wielki filtr kamienny, noszący na jednej ze sztuk swoich złocisty znaczek fabryczny z orzełkiem dwugłowym, zapewne austriackim.) Umyślnie całą tę, podrzędną zresztą scenę w Górach tak obszernie opowiedziałem,

gdyż nieraz później zdarzyło mi się słyszeć w Krakowie niechętnie opowiadania, już to od Mierosławczyków, już to od spokrewnionej lub zaprzyjaźnionej z Dembińskim arystokracji pochodzące, jakoby oprócz całej piwnicy, którą wypróżnili powstańcy, zabrano także dla dyktatora z pałacu jakąś drogocenną wykładaną szkatułkę pamiątkową, familijną. Jest to fałsz wierutny, o ile dyktatora tyczy, lubo być może, iż ktoś z powstańców, albo nawet ktoś z domowej służby, korzystając z wirwaru, podobną kasetkę, ma się rozumieć próżną, wyniósł. Piwnicy całej także owych kilkudziesięciu, a choćby więcej gości improwizowanych wypróżnić nie mogło: zapewne tylko starsze wina rozebrali lub wypili. Marsz nasz wieczorny trwał bardzo długo; owe zapowiadane trzy ćwierci mili przez kilka godzin skończyć się nie chciały. Wreszcie około godziny 10 z wieczora, postrzegając w ciemności drzewa, wieś zapowiadające, pojechałem ku czołu do dyktatora. Kiedyśmy przede dworem, gdzie miała być główna kwatera, z koni zsiadali, uderzyła mnie

pałacowa wspaniałość tego wiejskiego dworu i jego otoczenia. Wyraziłem moje zdziwienie, ile że nam opisywano parę godzin temu dwór w Wojśławicach (czy coś podobnego) jako stary i ciasny budynek. Dopiero wtedy dowiedziałem się, że zsiadamy z koni i nocować z wojskiem będziemy nie w Wojśławicach, jak było zamierzono, ale w Chrobrzu, głównej rezydencji majorackich dóbr margrabi Wielopolskiego. Langiewicz powiedział mi, że z rozmowy z przewodnikiem naszym wyrozumiał w ciągu marszu, iż wprawdzie nieco dalej do Chrobrza, ale za to wieś duża, zamożna, w wodę obfitująca i całą naszą armijkę pod dachami i strzechami pomieścić mogąca, że się więc zdecydował zboczyć do Chrobrza. Zarządziwszy rozstawienie mocnych posterunków u głównych wnijsć do wsi, zaczęliśmy się lokować w naszej kwaterze. Wyszedł z pałacu naprzeciw nam marszałek dworu, czy też burgrabia pałacowy i zapytał, gdzie życzymy sobie przenocować. Langiewicz zażądał pokazania całego wnętrza pałacu; marszałek więc nas oprowa-

dzał po wszystkich apartamentach parteru i pierwszego piętra. Ujrzawszy, że pierwsze piętro same paradne obejmuje pokoje z kosztownymi meblami, zwierciadłami i obrazami, a wiedząc, jak powstańczy kwaterunek takie rzeczy bez potrzeby niszczy (ile, że w tym przypadku wszystko to była Wielopolskiego własnością), namówiłem dyktatora, żeby kazał burgrabiemu szczelnie pierwsze piętro zamknąć i nikomu kluczy nie dawać, my zaś żebyśmy się rozlokowali w dostatecznie wygodnych i obszernych dolnych apartamentach. Były to zwykle mieszkalne pokoje Wielopolskiego i jego familii; przytem w jednym skrzydle pałacu mieściła się kosztowna biblioteka Chroberska po Konstantym Świdzińskim. Langiewicz obrał sobie obszerny pokój samego margrabi, naznaczając mi przytykającą doń sypialnię, żeby mnie każdej chwili mieć pod ręką. Reszta generałów, adjutantów rozlokowała się, jak mogła; w pokoju prowadzącym do biblioteki prosiłem, żeby się ulokowali adjutant mój Borzysławski i starszy brat jego, chciałem

bowiem widzieć tę kosztowną bibliotekę zabezpieczoną od możliwych fantazji i niepotrzebnych wizyt. Jakoż uszła ona, niepostrzeżona prawie bez nikogo. Burgrabia przyniósł kilka butelek starego wina na rozgrzanie, kazał herbaty zgotować (kucharz i reszta służby uciekła była w chwili naszego wkraczania do wsi); wnet napełniły się pokoje dyktatora adjutantami, dowódcami zziębłymi i ciekawymi. Wojsko tymczasem do wsi wchodziło i lokowało się wedle możliwości. Co chwila jacyś amatorzy zgłaszali się, żeby ich w onych apartamentach pierwszego piętra ulokować; ale dyktator stale wzbraniał. Dopiero kiedy wpadli do głównej kwatery lekarze nasi, żaląc się, że nie mają gdzie we wsi rannych i chorych ulokować, a tu paradne pokoje zdrajcy pustkami stoją, trudno było nie zrobić tego wyjątku. Wkwaterował się więc lazaret do salonów pierwszego piętra, a pod jego osłoną mnóstwo innej wiary, o ile kto do pałacu trafił i miejsca tam znalazł. Co i jak się tam działo, nie wiem, bom nie miał serca już tam zaglądać. Około

pólnocy poukładaliśmy się do snu; jam wszelako oka nie zmrużył pomimo ogromnego znużenia, bom całą noc ciężko kaszłał, gorączka się wzmagala i wcale już prawie głosu z gardła dobywać nie mogłem. Burgrabia zgotował mi jakieś ziółka i starannie po kilkakroć śród nocy do łóżka przynosił.

Dnia 17-go marca z rana oświadczył mi dyktator, że chce tutaj w Chrobrzu parę dni zabawić, żeby się ludzie i konie mogli gruntownie wywczasować, odpocząć, najeść, wreszcie podćwiczyć nieco i lepiej zorganizować. Pytałem, jak ta wieś położona, jakie ma okolice, przystępy, oparcia, linie odwrotu; nikt jednak z generałów i oficerów w głównej kwaterze obecnych nie umiał mi odpowiedzieć, żaden bowiem tej wsi z dawniejszych nie znał czasów, a teraz jeszcze nie oglądał; Langiewicz rzekł: „Zobaczymy to w ciągu dnia.“ Niepokojony tą niejasnością chwilowego naszego położenia, wyszedłem sam pieszo na wieś (jedynego mego konia męczyć nie chciałem), obszedłem ją wskrós, potem do okola

i rozpatrzyłem się w okolicy. Wieś Chroberz leżała rozrzuciona na poprzerywanym nieco rowami i naturalnymi falistościami ziemi gruncie, tuż przy korycie rzeki Nidy, na prawym jej brzegu; ze środka wsi szła dosyć szeroka droga i przekraczając Nidę na połowym moście drewnianym, 150 kroków długim, biegła na lewym brzegu przez pole otwarte, gubiąc się w oddali. W bliskości rzeki i mostu stał na wzgórzu kościół murowany wśród cmentarza, mocnym murem z kamienia obwiedzionego. Pałac i należące doń oficyny, stajnie i t. d. stały u samego północno-zachodniego końca wsi, w pobliżu bitej drogi do Pinczowa, tuż przy otwartem polu i nie przedstawiały żadnej pozycji obronnej; nieco w tył za pałacem, ku wsi biegł przez wieś, przecinając ją niejako na dwie części, na jądro do Nidy należące i na półksiężycowy, okalający je wyciniek, rów czy parów, na wpół mokry, tu i ówdzie sztachetami lub palisadą opatrzone; prowadziło przez ten rów parę mostków, zamykanych sztachetowemi wrotami. Okolica wsi była lekko urozmaicona falistością

gruntu, ale w ogóle odkryta; lasu, ani gaju w bliskości widać nie było. Po dwugodzinnym takim rekonesansie, wróciłem do głównej kwatery, opowiedziałem dyktatorowi moje postrzeżenia, dodając uwagę, że gdyby nas w tej pozycji zaatakowano, w fatalnem bylibyśmy położeniu, główną linię odwrotu mając przez ciasny most na rzece; wewnętrzna część wsi, poza rowem, dałaby się wprawdzie czas niejaki trzymać, dopóki by artylerya nieprzyjacielska wsi nie zapaliła; natomiast zewnętrzna część wsi jest prawie nieobronna i główna kwatera zupełnie wystawiona na nocny napad kilkunastu rezolutnych kozaków, którzyby bez trudności dyktatora porwać mogli, zanimby wystąpiła po nocy jakaś obrona. Langiewicz odpowiedział, że zobaczy, że to przesadzone obawy i t. d. Resztę przedpołudnia strawiłem na załatwieniu różnych piśmiennych robót głównego sztabu, które przez kilka dni, dla ciągłych za dnia marszów, pauzować musiały. Około 1-szej z południa zaczęto się krzątać w głównej kwaterze około lekkiego obiadu, który

szedł jednak bardzo oporem, bo mnóstwo było konkurentów, a wiktuałów świeżych nie było wiele i nie miał kto w pałacu gotować. Część nas była właśnie przy rosole, kiedy przyleciał swoją bryczuszką ów tajny agent i szpieg Langiewicza, przywożąc wiadomość, że wieść o noclegu w Chrobrzu doszła już do Pinczowa i że znajdujące się tam wojsko rosyjskie wyrusza z Pinczowa, żeby nas w Chrobrzu zaatakować. O sile tego wojska widocznie bardzo niedokładne robił ten agent podania, jak to się zwykle niewprawnym w ocenianiu liczby wojska zdarza. Moskale mieli iść na nas szosą, po prawej stronie Nidy idącą. Langiewicz zbył zrazu tę wiadomość (może dla niewzniecania popłochu wśród obecnych) kilku wykrzyknikami tego rodzaju, jak: „No niech przyjdą, i owszem; to im damy odprawę, jak należy“; albo: „Alboby oni śmieli nas tu atakować?“ albo: „Ja wiem lepiej, że ich tam nad kilka rot być nie może“. Śród ogólnego wirwaru i dalej trwającego obozowego obiadu nie sposób mi było żadnej bardziej szczegółowej wydobyć dys-

pozycyi od dyktatora. Powiedziałem więc tylko generałowi dyżurnemu, iżby ustnie różnych dowódców uprzedził, przedwczesnego nie roznosząc popłochu, żeby oddziały były gotowe stanąć na pierwszy znak pod bronią; komendantowi zaś głównej kwatery poleciłem wzmocnić posterunek przed pałacem od strony pola i drogi Pinczowskiej. Nie minęło może jak półgodziny kiedy szybkim pędem zajechała przed pałac inna bryczka; wysiadły z niej dwie damy. Jedna z nich, pani Deskur, kulawa, przywoziła dla dyktatora jakieś papiery i pieniądze. Langiewicz, przerywając obiad, usunął się z temi damami na konferencyę do mojej kwatery, to jest do małego sypialnego pokoju margrabi; ponieważ mnie nie wezwał, zostałem więc razem z innymi w głównym Langiewicza pokoju. Po niejakiem czasie, przywoławszy mnie, powiedział, że panie te jadą od Pinczowa i wyminęły na szosie długą kolumnę piechoty rosyjskiej i kozaków, ku nam ciągnących, że ledwo im ujść zdołały, że trzeba wydać rozkaz gotowości do wymarszu. W którą

stronę mamy się cofać, jeszcze nie był zdecydowany; nie sposób zresztą było bliżej o tem z nim na razie mówić, bo konferencya z damami dalej trwała i liczono jakieś pieniądze, zdaje się srebrną i zdawkową monetę, w kilku workach przez te damy przywiezioną. Wydałem natychmiast odpowiednie rozkazy. Wróciwszy do dyktatora, pytałem znów o kierunek marszu i dalsze dyspozycye. Poradziwszy się map szczegółowych, rzekł wreszcie, że obierzemy nocleg w Grochowiskach, wsi położonej nie bardzo daleko, z lewej strony Nidy, w lesistej i mocnej pozycji. Tymczasem pojedyncze oddziały występowały już we wsi z kwater swoich pod broń, kulbaczono konie, zaprzęgano wozy; jednocześnie przychodziły od czasu do czasu wiadomości, przynoszone przez chłopów lub podróżnych, że Moskale coraz bardziej zbliżają się szosą i już tylko na trzy ćwierci mili od Chrobrza są oddaleni. (Pinczów oddalony jest od Chrobrza na dwie do trzech mil.) Kiedyśmy już byli prawie na wsiadaniu na koń, rzekł mi Langiewicz: „Szefie, oglądałeś

wieś i znasz dobrze jej pozycję, będziesz więc wsi bronił, póki się przez most nie przeprawimy.“ Na moją objekcję, że zupełnie będąc głosu pozbawiony (w istocie już tylko z biedą szeptać mogłem) komenderować nie mogę, odparł dyktator: „Cóż robić, kiedy nikt inny pozycji nie zna.“ Uległem przed takim argumentem, radząc sobie w ten sposób, że moim adjutantom wyszeptywał rozkazy, a oni je w głos powtarzali. Wreszcie między drugą a trzecią z południa przerwał dyktator konferencję z przybyłymi damami, wszystko siadło na koń i powoli ku mostowi ruszyło. Wskazawszy porządek maszerującej kolumny generałowi dyżurnemu, przeprowadzenie onegoż, mianowicie przy trudnym nieco przez most przemarszu, jemu zleciłem, zatrzymując przy sobie batalion piechoty (kosynierów z trochę strzelców), oddział zuawów Rochebruna, pluton saperów i pół plutona ułanów. Kiedyśmy już na koniach przed pałacem siedzieli, zaszły dwa podrzędne epizody, o których mi jednak uczynić wzmiankę wypada. Wiedziałem, że wypró-

zniono w pałacu piwnicę i porozbierano sobie broń myśliwską i zbytkową, garderobę margrabiego, różne drobne retenta (biblioteka pozostała nietknięta) i konie zbytkowe ze stajni; ale że to wszystko były artykuły mniej więcej bezpośrednio powstańcom przydać się mogące, przymykałem więc oczy na te nieprawidłowości. Zdziwiło mnie jednak i obruszyło niepomału, kiedy, siedząc już na koniu przed pałacem, usłyszałem, jak intendent generalny p. Tomasz, dawał rozkaz zabierania z pałacu obrazów i przedmiotów sztuki (jak n. p. marmurowych posążków, popiersi i t. d.) i pakowania ich coprędzej na stojące przed pałacem wozy. Wyraziłem mu moje zdziwienie i opozycję. Odparł, że poco oszczędzać takiego gałgana i zdrajcę, ile że będzie można założyć w Krakowie z zabranych tym sposobem przedmiotów muzeum narodowe. Zaapelowałem do stojącego opodał dyktatora, przedstawiając gorąco, że jeżeli Wielopolski zdrajca, to starać się go dostać i śmiercią ukarać; ale dopuszczać się na jego obrazach i posągach nie tylko

już nie rabunku, ale po prostu wandalizmu, gdyż to wszystko potłucze się i poginie, zanim cośkolwiek do Krakowa odesłać zdołamy — jest to rozmyślnie ściągać i na dyktatora i na wojsko powstańcze najniepotrzebniejszą zakaleć. Langiewicz zgodził się wkońcu na moje racye i zaboru przedmiotów sztuki zakazał. Ocalały więc one, a wywarto nienawiść do Wielopolskiego tylko na ustawionych przed pałacem posągach zwierząt, którym łby pootłukano. Kiedym po tej scenie podjechał na chwilę ku oficynom i prowentowi, gdzie stał pod bronią już oddział żuawów, przypadła do mnie jakaś kobieta rozczochrana z dwójkiem dzieci w koszulkach, lamentując, że wszystko jej zrabowano i z wszystkiego ją i dzieci obdarto. Była to żona propinatora, ekonoma, czy też pisarza prowentowego. Oburzony podwójnie (gdyż ci, co w tej chwili rabowali, dopuszczali się także opuszczania stojących już pod bronią szeregów), poleciłem pikiecie żuawów przeszukać dom, rabusiów aresztować i oddać ich audytorowi i gwałtygierom do dyspozy-

cyi, kobiecie zaś zabrane retenta powrócić. Posłana pikietą wyprowadziła niebawem pod strażą z owego domu dwóch młodych rabiusiów, którzy nawet poduszki pruli i wysypując pierze na korytarz, poszewki zabierali. Jednym z nich był żuaw, drugim młodziutki jakiś i ładny powstaniec w krakusce z orzełkiem. Kolumna nasza ruszyła wreszcie w marsz, dyktator pokłusował ze sztabem ku mostowi, a ja, zostawszy we wsi, w następujący sposób rozdysponowałem siłami, którem przy sobie zatrzymał: Zachowawszy dwóch ułanów na posyłki, wysłałem resztę półplutonu naprzeciw idącemu ku nam nieprzyjacielowi z poleceniem, żeby dotarli o ile się da najbliżej do niego, tak iżby z parą strzałów z kozakami zamienili i przynieśli mi wiadomość, którądy, w jakiej sile nieprzyjaciel postępuje i jak daleko jest jeszcze ode wsi. Rochebrunowi poleciłem, żeby rozsypał cokolwiek tyralierów w okolicy pałacu i na zewnętrznym brzegu wsi od strony drogi Pinczowskiej, główną zaś siłą, żeby obsadził ów obronny rów, przez środek wsi

w półksiężycu biegnący (*D. D. D.*), tak ażeby z godzinę mógł przystępu do wnętrza wsi bronić. Batalion piechoty postawiłem w odwodzie na cmentarzu kościelnym (*B*), polecając dowódcy, ażeby się na nim obronno usadowił i dalszych moich czekał rozkazów. Plutonowi saperów, opatrzonych w topory, kazałem się jeszcze zaopatrzyć w słomę i nieco smoły, jeśli ją gdzie znajdą i stanąć tuż przy moście (*C*), gdzie mają na dalsze czekać rozkazy. Po jakimś czasie objechałem te różne posturunki i z radością się przekonałem, że Rochebrune i jego oficerowie poczynili dyspozycje najodpowiedniejsze i że żuawów najlepszy duch ożywił. Oprócz obsadzenia rowu, palisad i przesmyków pourządzali sobie w mgnieniu oka wedle wszelkich wskazówek sztuki doskonałe blokhauzy z kilku chałup i stodół, wyrzynając w nich strzelnice i t. d. Cała ludność wsi, widząc, na co się zanosi, pouciekała w pola, wyprowadzając za sobą bydło i dobytek. Niedługo nadbiegli też, co koń wyskoczy, owi wysłani przezemnie na zwiady ułani,

wołając, że kozacy już idą. Niczego bliższego od nich dowiedzieć się nie było można; zdaje się, że zobaczywszy z dala kozaków, co prędzej nawrócili. Kiedy mi od tyłu zaraportowano, że już koniec naszej głównej kolumny most przechodzi, kazałem Rochebrunowi ściągnąć zewnętrznych tyralierów i na wewnętrznej ograniczyć się linii przy rowie *D. D. D.*, kapitana zaś Borzysławskiego posłałem na cmentarz z rozkazem do dowódcy batalionu, żeby się cofnął przez most na lewy brzeg Nidy i mocną u tamtego brzegu zajął pozycję aż do mego nadejścia. Jakież było moje zdziwienie i oburzenie, kiedy po niejakiem czasie wrócił adjutant mój z raportem, że rozkazu nie sprawił, bo nikogo już niema na cmentarzu, ani we wsi. Później dopiero otrzymałem rozwiązanie tej zagadki. Ów postawiony przezemnie na cmentarzu dowódca z batalionem piechoty, który miał mi służyć za rezerwę i na którego w razie zaatakowania mnie we wsi, rachowałem najmocniej, stosownie do tego cały plan obrony sobie kombinując, ów dowódca,

powiadam, niecierpliwy widać dostania się co prędzej na drugi brzeg rzeki wraz z główną kolumną wojska, podjechał osobiście do przejeżdżającego przez most generała Jeziorańskiego i zapytał go, czy może ze swoim batalionem przeprowić się także przez most. Jeziorański, niewiedzący ani co to za batalion, ani też o moich dyspozycjach, odpowiedział od niechcienia: „Ma się rozumieć; toć przecież wszyscy na tamten brzeg przechodzimy.“ Korzystając z takiej odpowiedzi oficera, który mu żadnych rozkazów nie miał w tej chwili do dawania, dowódzca batalionu wyniósł się co prędzej ze swoim batalionem z cmentarza i pomaszerował sobie z główną kolumną Langiewicza, nic mi nawet o tem nie raportując. Przytaczam ten szczegół, jako próbkę bajecznej luźności w wyobrażeniach o karności, obowiązkach służby wojskowej i honorze oficerskim. W tym przypadku rzecz pozostała obojętną, bo sam chciałem już przeprowić ten batalion, żeby powoli przeprowadzać własny odwrót ze wsi przez most. Ale gdybym był nieco wprzód we

wsi atakowany, samowolny i w gruncie tchórzliwy ten postępek dowódcy batalionu mógłby był i naszą garstkę o zgubę przyprowadzić i bezpieczeństwo cofającej się głównej kolumny Langiewicza na szwank narazić. Kiedy już koniec kolumny Langiewicza dobrze się był z tamtej strony rzeki od mostu odsadził, dałem rozkaz Rochebrunowi stopniowego cofania się ku mostowi, obsadzając coraz to ciaśniejsze półkola we wsi. Już też się i kozacy około pałacu pokazywać zaczęli, ale że ich piechota nie była jeszcze nadciągnęła, nie śmieli więc do wsi wkraczać. Zrazu było moją intencją kazać tylko saperom zerwać wierzchni pomost z owego palowego mostu na Nidzie, żeby nie niszczyć bez potrzeby kosztownej i mozolnej pracy palowej; cel opóźnienia pogoni moskiewskiej o godzinę lub dwie byłby i tak osiągnięty. Widząc wszelako kozaków już do wsi wkraczających, uznałem, że proste zerwanie pomostu nie wystarczało do bezpieczeństwa cofającej się głównej kolumny Langiewicza; z bolem więc serca zdecydowałem się most spalić.

Rozkazawszy saperom poobwijać bale mostowe i kobylnice w słomę i porozlewać co było smoły, przeszedłem z żuawami i saperami przez most i tejże chwili ogień podłożyć dałem. Kiedy już most w jasnych stał płomieniach, poleciłem Rochebrunowi, ażeby pozostał ze żuawami i półplutonem ułanów, przy palącym się moście i nie prędzej ku głównej kolumnie wyruszył, aż cały pomost w rzekę runie i pale mostowe się zajmą. Gdyby Moskale próbowali gasić i przedostawać się po szczątkach mostu za nami, miał im tego nie dopuścić. Rochebrune rzekł mi: „Et si les Russes m'attaquent par ici (to jest po lewym brzegu), que faisais-je tout seul en champ découvert? Odpowiedziałem mu: „D'abord les Russes ne vous attaqueront pas par ici (omyliłem się w tem, jak się zaraz pokaże), parcequ'ils arrivent par la rive droite; et même s'ils vous attaquaient, je vous donnerais la main; contez-y et soyez tranquil.“ Pożegnawszy w ten sposób Rochebruna (2) pokłusowałem drogą (F), żeby zdać raport dyktatorowi i spowodować go do zwolnie-

nia marszu kolumny aż do nadejścia Rochebruna. Cała kolumna maszerowała już ku Zagościowi drogą (*G*); na drodze *F* już tylko wlokły się jakieś bryczki, woziki, marudery i luzaki. Kiedym się zbliżał do skrzyżowania drogi *F* na drogę *G*, spostrzegłem na lewo, u krańca horyzontu, na lekkich wyniesieniach zupełnie otwartego tu pola, czerniące się linie ruchome, w oddaleniu 1500 do 2000 kroków; rychło też postrzegłem, jako dawny konny artylerzysta, migające wśród tych linii, a dobrze mi znane obroty zajeżdżających na pozycję i odprzodkowujących konnych dział; rzut oka przez połowę perspektywę do reszty mnie przekonał, że to Moskale z tej całkiem dla nas niespodzianej strony, a w znacznej sile nadciągają i w szyk bojowy się ustawiają. Pomimo woli odwróciłem się nagle na koniu, by zobaczyć, co się dzieje z maszerującą naszą kolumną; ale cóżem niestety spostrzegł! Oto domysł, że Moskale otwartem polem na nas się zbliżają, już był przebiegł cały tył kolumny, wielki roznosząc popłoch; bryczki, luzaki, maruderzy w przekątni

z drogi *F* na drogę *G* polem co prędzej uciekali, wywracając się, z koni spadając, gubiąc broń i czapki, wywracając bryczki i wózki; cały zaś tył kolumny, z kawaleryi naszej złożony, jął kłusować drogą ku Za-gościowi, wprowadzając oczywiście w popłoch i nieład wszystko, co przed nim postępowało. Huknęły też w tej chwili pierwsze rosyjskie strzały armatnie z punktu 9, a świszczące i pękające kule cylindrowe popłoch jeszcze zwiększyły¹⁾. Widząc to wszystko, pomny na dane Rochebrunowi słowo, że w razie niebezpieczeństwa podam mu rękę i samego nie zostawię, pamiętny oraz, że na wojnie jeden drugiego się zarówno boi, i że skoro tylko jeden cośkolwiek kontenansu pokaże, to nieprzyjaciel

1) Z leżących na polu kul i czerepów przekonałem się, że Moskale mają ze sobą gwintowane działa lekkiego kalibru, strzelające pociskami kształtu cylindrowo-stożkowego, u których stożkowa tylko główka pękała, jak mały granat, rozrzucając czerepy w około, główny zaś cylinder, pełny, biegł dalej i działał jak kula. Pociski te, jako z gwintowanych dział wyrzucane, sięgały na przeszło 2000 kroków.

folguje w swoim nacieraniu lub ściganiu, postanowiłem zatrzymać naszą kawaleryę, w aryergardzie kolumny naszej postępującą i wyciągnąć ją w szyk bojowy, równoległe do drogi *F*, żeby gotowością naszą zaimponować nieprzyjacielowi przynajmniej na pół godziny i dać czas Rochebrunowi do bezpiecznego cofnięcia się od punktu 2, jakoteż kolumnie marszowej do ochłonięcia z popłochu, uszykowania się, a dyktatorowi do powzięcia jakiejś decyzji i wydania dyspozycji. W myśli tej, przypadłszy galopem do pierwszego od tyłu szwadronu, zawołałem na rotmistrza, o ile tylko mój zgasły głos na to pozwalał: „Stój rotmistrzu! uszykuj się frontem szwadronowym“. Rotmistrz odparł niecierpliwie, że nie może, bo tu jest pułkownik. Pogalopowałem więc co prędzej ku czołu pułku i powtórzyłem toż samo wezwanie pułkownikowi; ten zasłonił się z pewnem pomięszaniem generała brygady obecnością, która mu przyjmować moich rozkazów nie pozwala. Poskoczyłem tedy dalej ku generałowi Józefowi Czapskiemu, jadącemu na czele obu pułków ka-

waleryi i błagającym już prawie tonem wezwałem, żeby kazał jeździe stanąć i uszykować się w polu. Czapski, być może, myśląc, iż żądam od jego kawaleryi szarżowania na nieprzyjaciela (do czego w istocie sposobną nie była), albo też Bóg wie jakich cudów waleczności, odmruknął dość niechętnie, że konie za bardzo są pomęczone, że trzeba czekać, co dyktator powie i t. p., i mówiąc to, żeby mnie się pozbyć, prędzej jeszcze ruszył dalej drogą ku Zagościowi, a za nim cała kawalerya. Ja prześcignąłem ich jeszcze, pytając po drodze o dyktatora, którego nikt mi wskazać nie umiał i zaklinając wszystkich generałów i pułkowników, których po drodze spotkałem, żeby tylko starali się wstrzymać pochód kolumny ku Zagościowi i uszykować się w polu, a wszystko będzie dobrze. Nie znalazłszy dyktatora i słysząc ogień ręcznej broni z obu skrzydeł, pogalopowałem na powrót ku drodze *F*. Tu mi się przedstawił następujący obraz bitwy. Polem bitwy było zupełnie otwarte pole, rozmiękłemi podorywkami, rzyskami, ugorami i zasie-

wami zimowymi pokryte, gdzie niegdzie płytkimi tylko rowami lub krzaczkami przerywane. Ciągnęło się ono przedemną, t. j. w kierunku północno-zachodnim, jak daleko oko sięgnąć mogło, podnosząc się nieco u krańca widnokregu. Za mną, toż samo pole ciągnęło się aż po wieś Zagość, która swymi budynkami, ogrodami, opłotkami i falistością gruntu dalej sięgać nie pozwalała. Pole to ujęte było w kierunku swej długości, po lewej stronie, rzeką Nidą, po prawej stronie zaś pasmem dość raptownych wzgórz, krzakami lub lasem pokrytych, a biegnących mniej więcej równoległe z rzeką Nidą. Szerokość pola, t. j. przestrzeń od rzeki do pasma wzgórz, wynosić mogła jedną do dwóch wiorst; rozszerzała się jednak przedemną, a zwężała za mną, ku Zagościowi. Śliczne to było pole bitwy, z bezpiecznem po obu skrzydłach oparciem; ale trzeba było na nie wprawniejszego nieco wojska, niżli nasze i nie tak bardzo oduczane od wszelkiego spotkania w otwartem polu. Na nasze trzy tysiące było ono także nieco za szerokie. Bądź co bądź, na

tem polu bitwy, na lekkiej wyniosłości o 1500 może kroków od drogi *F*, *F* stała uszykowana rosyjska piechota (8, 8), w sile mniej więcej sześć do siedmiu rot, czyli kompanij, t. j. tysiąc do półtora tysiąca żołnierza; w środku tej piechoty wstawione dwa lub trzy działa gwintowane (9), przysyłały nam swoje cylindrowo stożkowe, pękające kule. Na prawem skrzydle rosyjskiem szwadron dragonów, tuż u brzegu rzeki postępujący, widząc spieszne i bezładne cofanie się nasze ku Zagościowi, a stojącą w odosobnieniu małą garstkę Rochebruna przy palącym się moście, wysunął się dużo naprzód ku Rochebrunowi (10), który stał wciąż w punkcie (2). Na lewem rosyjskiem skrzydle sotnia lub pół sotni kozaków (11, 11) próbowała zlustrować i zająć krzaki i wzgórze, ale ją tam wstrzymał ogniem swoim rozsypany na wzgórzu i w krzakach batalion strzelecki, przy którym znajdował się pułkownik Czachowski i Langiewicz z Borzysławskim pułkownikiem i częścią sztabu. Z tyłu, ku Zagościowi, główna nasza armia w nieładzie w marszowej kolu-

mnie do tej wsi zdążająca, zaczynała powoli, wskutek usiłowań dowódców, wstrzymywać się, zwracać frontem do Moskali, formować się w linie po obu stronach drogi *G* i napowrót naprzód, ku drodze *F*, *F* się posuwać. Postrzegłem też zjeżdżającego z owego wzgórza po prawej ręce i wracającego do swego głównego korpusu Langiewicza z częścią sztabu (Pustowójtówna była w tej liczbie). Połączywszy się z tak długo napróżno szukanym dyktatorem i zdawszy mu raport, dowiedziałem się o powodzie jego zniknięcia chwilowego. Oto, kiedy ja jeszcze byłem przy palącym się moście — Langiewicz postrzegłszy w oddali zbliżających się ku nam po lewym brzegu Nidy Moskali, w szyku bojowym, nie wzniesając popłochu tą wiadomością w maszerującej ku Zagościowi kolumnie i nie dając jej rozkazu zatrzymania się, porwał pierwszy batalion strzelecki, który wpadł mu pod rękę i wraz z Czachowskim pospieszył, nader trafnym rzutem oka wiedziony, drogą *F* ku owemu zarosłemu wzgórzu, żeby je strzelcami ob-

sadzić i tym sposobem, zagrażając postępującym Moskałom we flance, pochod ich wstrzymać. Pułkownik Borzysławski, mający podobno w głównej kolumnie dowództwo awangardy przy wyjściu z Chrobrza i przechodzeniu przez most, sobie ten trafny pomysł przypisywał, nie wiem wszelako, co jest w tem prawdy. Bądź co bądź, Langiewicz, ustawivszy na wzgórzu strzelców i pobywwszy przy nich czas niejaki podczas tyralierowania i harcowania z kozakami, zostawił ich tam pod dowództwem Czachowskiego, a sam wracał teraz z Borzysławskim i sztabem do głównego korpusu. Tymczasem, u lewego naszego skrzydła, Rochebrun, widząc kłusujący ku sobie szwadron dragonów, nie tylko, że w szczupłym swoim oddziale, samotnie w otwartym polu pozostawionym, żadnego nie dopuścił popłochu, ale z wzorową zimną krwią rozwinął swoich żuawów w porządną linię bojową i zaczął sypać plutonowym ogniem na dragonów. Dragoni powstrzymali się natychmiast w swym zapędzie, tak niespodzianą widząc gotowość i determinację

w tej garstce, i zsiadłszy z koni, obyczajem dragońskim w pieszą uformowali się linię i ogniem z ręcznej broni żuawów razili. Dość niewinna ta strzelanina trwała czas niejaki; wreszcie Rochebrun, doczekawszy się, jakem mu był polecił, zupełnego spalenia mostu, zaczął się w przekątni przez pola i podorywki ku głównej naszej sile cofać, co sto lub kilkaset kroków zatrzymując się, robiąc front ku Moskałom i odstrzeliwując się dragonom. Dragoni bali się ścigać tak dzielny i porządny oddział piechoty, nic więc nie wskórawszy, cofnęli się ku głównej linii moskiewskiej; Rochebrun zaś zatrzymał się i uszykował w punkcie (5); kiedym do niego podjechał, wraz z dyktatorem, z żartobliwym odezwał się do mnie wyrzutem: „Vous m’avez joliment donné la main!“ Wytłómaczyłem mu, że nie moja w tem była wina. Cała owa utarczka Rochebruna z dragonami, niewiele obustronnej przyniosła szkody; dragonów padło kilku, kilku też żuawów odniosło rany i zabito pod Rochebrunem mego wierzchowego konia, którego mu przed paru dnia-

mi był pożyczyl. Odtąd Rochebrun, jedyny z dowódców, znów pieszo chodził do końca. Przybycie Langiewicza do głównej naszej kolumny opamiętało ją do reszty i całe nasze wojsko (z wyjątkiem Czachowskiego z batalionem strzelców, który na wzgórzach jeszcze pozostał) rozwinęło się porządnie w szyk bojowy, w dwóch liniach; kawalerya stała na lewem skrzydle tego szyku. Podczas szykowania tych linii plątały się nam między nogami nasze dwie armatki, nie wiedząc, co ze sobą zrobić; wyprowadziłem je więc na front przed piechotę i odprzodkować kazałem, żeby zaś dodać naszym ducha, powiedziałem dowodzącemu baterijką kapitanowi, żeby kazał dać parę razy ognia. Wymawiał się zrazu, że za daleko, że kule nie doniosą, a kiedy pomimo to nastawał, iżby huknął kilka razy, chociażby na wiatr, dla zaimponowania Moskałom, a dla podniesienia animuszu u naszych, oświadczył wręcz, że strzelać z nich niebezpiecznie, bo mogłyby pęknąć. Trudno było co odpowiedzieć na taki argument; pytanie wszakże, poco wło-

czyć taki niepotrzebny ciężar ze sobą? Tak więc nasza artylerya, za całej mojej bytności w obozie Langiewicza, ani razu, chociażby na próbę tylko, ognia nie dała.

Okolo piątej lub szóstej po południu wzajemne nasze pozycye były następujące; Główna linia rosyjska posunęła się była nieco naprzód (12, 12) i działa ich dawały wciąż jeszcze, z tej nowej pozycji (13), do nas ognia, nie wiele jednak szkody w ludziach nam przynosząc: wszystkiego mieliśmy od tych kul armatnich paru zabitych i kilku rannych. Dragoni, po bezskutecznej na Rochebruna wyprawie, wsiedli na konie i cofnąwszy się nieco ku swojej głównej linii, strzegli jej prawego skrzydła. Kozacy, przepłoszeni w krzakach i na wzgórzach ogniem naszych strzelców, cofnęli się podobnież ku swojej linii (15, 15), lewego jej skrzydła pilnując. Wreszcie oddział rosyjski, który postępując po prawym brzegu Nidy, szosą z Pinczowa do Chrobrza, wypłoszył nas był z tej wsi, wszedłszy do niej wkrótce po zapaleniu mostu i widząc, że niepodobna mu rzeki przebyć, ukazał

się był na chwil kilka u samego brzegu (16), i bezskutecznymi swymi strzałami starał się niepokoić cofającego się z punktu (2) do punktu (5) Rochebruna. Nasze wojsko stało uszykowane w milczeniu i bezczynności, w dwóch liniach (4, 4), z armatkami cokolwiek przed frontem (7) i żuwami na lewym skrzydle (5). Czachowski, zaprzestawszy niepotrzebnego już ognia, cofnął się nieco na lesistem wzgórzu (6), ale nie mając, jak się zdaje, rozkazu od dyktatora (o czem na drugi dopiero dzień się dowiedziałem) do połączenia się napowrót z główną kolumną, nie wiedząc zresztą, co się dzieje i gdzie stoimy (bo w zaroślach nic nie widział), dał się w tej osamotnionej gęstwinie nocy zaskoczyć. Żeby nie potrzebować wracać do dalszych losów tego batalionu, teraz już nadmienię, iż kiedy wszystko już dookoła było ucichło i ciemna noc zapadła, Czachowski domyślając się, żeśmy go dawno opuścić musieli, zaczął się cofać na los szczęścia przez zarośla, wzgórza, pola, błota i cudownym jakimś sposobem z wycieńczonymi od nad-

ludzkiego trudu, zimna i głodu strzelcami, około drugiej lub trzeciej godziny z rana, trafił za nami do Wełeczna, straciwszy tylko kilkunastu ludzi w maruderach i zbłąkanych wśród ciemności. Kiedy już zmrok zapadać zaczął, Moskale dalszego ognia zaprzestali i straciliśmy ich z oczu; armijka nasza, przeszedłszy wtedy z szyku bojowego w kolumnę marszową, ruszyła w pochód, przebywając wieś Zagość i zmierzając dalej ku Grochowiskom. Tak się skończyła owa bitwa, czy też owo spotkanie, które jedni „bitwą pod Chrobrzem“, inni „bitwą pod Zagościem“ nazywają. Oczywiście było, że pułkownik Czengiery, który tu Moskalami dowodził, usłyszawszy nocy poprzedniej lub tegoż rana, że jesteśmy w Chrobrzu, umyślił wyprawę na nas, w ten sposób ją urządzając, że mały oddział piechoty, obejmujący może ze dwie roty piechoty i nieco kozaków, postępując z Pinczowa ku Chrobrzu na lewy brzeg Nidy, miał zadanie wypłoszyć nas fałszywym i nagłym atakiem z Chrobrza na brzeg Nidy, a główna jego siła, lewym

brzegiem rzeki postępująca, miała nas w otwartym polu zaatakować i rozprószyć. Plan ten udał mu się w pierwszej tylko połowie. Straty nasze w ludziach bardzo były nieznaczne, natomiast dotkliwą bardzo i w następstwa brzemienną ponieśliśmy stratę w taborze naszym. Kiedy bowiem Moskale na lewym brzegu się ukazali, strzelać zaczęli i na bitwę się zanosilo, cały tabor wozów z bagażami, zapasami i żywnością salwował się, uchodząc przez Zagość. Część tego taboru, t. j. bagaże i nieco zapasów broni, ubrania i amunicji, połączyła się napowrót z nami w ciągu nocnego marszu; część jednak, obejmująca kilkanaście wozów z chlebem, żywnością i furazem, tak bardzo oddaliła się, że nie mogąc już nas potem pociemku znaleźć, dostała się na boczne drogi i błędząc przez dni kilka w pobliżu granicy, wkroczyła wreszcie w parę dni po nas do Galicyi, gdzie Austriacy cały konwój zabrali. Nadmieniam tu jeszcze dodatkowo, o czemem zapomniał wspomnieć w swoim czasie i miejscu, że kiedyśmy już byli na wymarszu z Chrobrza,

ale stali jeszcze na koniach przed pałacem, Langiewicz powiedział mi, iż wedle tego, co z obozu rosyjskiego odebrał, może on dysponować, żeby idący na nas Moskale atakowali nas lub nie atakowali. Wziąłem to wtedy za próżną przechwałkę lub mimowolne łudzenie się co do wagi związków, jakie mógł mieć z niektórymi oficerami rosyjskimi, i nie wiem po dziś dzień, ile było prawdy w tej przechwałce. Kolumna nasza maszerowała, z różnemi częściowemi przerywaniami i zatrzymaniami się, spowodowanemi błędzeniem po nocy, wśród największej ciemności i przeraźliwego zimna blisko do godziny dziesiątej z wieczora. Od czasu do czasu postrzegaliśmy w oddali łunę ognisk biwakowych rosyjskich, co pokazywało, że nie wprost się od nich oddalamy, ale raczej flankowy, odbywamy pochód. Ciemność była tak wielka, że co chwila niemal jeden oddział tracił ślad drugiego, wozy się wywracały, przewoźnicy prowadzeni u czoła kolumny pod pistoletami dwóch ułanów, wymykali się nam i nowych łapać musieliśmy, a z drogi, któ-

ra szliśmy, tyle tylko było widać, ile zapalane łuczywa lub latarnie chwilowo na parę kroków oświecały. Nadzwyczaj silny wiatr marcowy, obok zimnej nocy, tak był przejmujący, że konie i ludzie od zimna drżeli. Ja chory od dni kilku, takem przeziął na tym przeraźliwym wietrze, że zębami od trzęsącej mnie febry szczękałem, z wysileniem tylko największem na koniu się jeszcze utrzymując; piłem bezustannie wódkę, żeby cośkolwiek się rozgrzać i pokrzepić. Kiedyśmy do wsi Wełecza, o pół mili może (lub nieco więcej) od Grochowsk oddalonej, dochodzili, dyktator zdecydował, żeby ze względu na straszne pomęczenie wojska i nieopisaną uciążliwość marszu wśród ciemności, zanocować w Wełeczu, a nazajutrz z rana dalej do Grochowsk wyruszyć. Rozłożyło się więc nasze wojsko, jak mogło po nocy, we wsi na nocleg. Langiewicz zaś ze sztabem obrał główną kwaterę w szczupłym dworku dzierżawcy. Szczęściem, było jeszcze we wsi nieco owsa, siana, chleba, wódki i żywności, tak że się wojsko cośkolwiek, lubo niedostatecznie,

pożywiło; konie mianowicie w małej tylko części jeść dostały. Mnie, trzęsącego się i szczękającego zębami od febry, ponakrywano w głównej kwaterze różnemi burkami, futrami; po godzinie leżenia na podłodze pod tym stosem ciepłych okryć, wystąpiły na mnie poty i doznawszy ulgi, usnąłem.

Dnia 18-go marca z rana wyruszyliśmy z Wełecza ku Grochowiskom. Dowództwo tylnej straży zlecił dyktator pułkownikowi Borzysławskiemu. Droga z Wełecza szła zrazu ku wschodowi, potem zaczęła się skręcać na lewo ku północy, ku piaszczystym i zarosłym wzgórzom, na których wśród obszernego lasu sosnowego miały się znajdować Grochowiska. Niedaleko za budką przydrożną (C) (zapewne dla strażnika borowego zbudowaną), skręciliśmy na prawo, już wśród gęstego lasu, na poboczną drogę leśną. Borzysławski ustawił w okolicy tej budki u skrętu drogi, w punkcie 3 Czachowskiego z batalionem piechoty, dla strzeżenia tyłów naszych od strony Wełecza, skąd mogli przyjść za nami Mo-

skale. Dyktator ze sztabem wyjechał trochę naprzód, żeby przyszłe wyszukać i opatrzyć obozowisko. Dotarliśmy do stojących wśród lasu kilku budynków folwarcznych i leśniczych *E*, Grochowiskami zwanych. Wsi tam żadnej, ani chałup nie było, tylko mieszkanie leśniczego i kilka budynków gospodarskich. Czy jest gdzie indziej właściwa wieś Grochowiska, tego nie wiem. Wody było w tem ustroniu cośkolwiek, ale nie dosyć dla tylu ludzi i koni. Ponieważ jednak wyboru nie było, dyktator upatrzył więc opodal leśnego folwarku *E* nieco otwartzsze wśród lasu miejsce, powstałe z wyciętego na sągi boru. Sągi te stały jeszcze w pobliżu jakiejs bocznej leśnej drogi. Na tem to miejscu (*D*), przy sągach, rozłożyliśmy się obozem. Nim wszystko pościągało do wyznaczonego sobie biwaku i rozłożyło się, nadeszła już dziesiąta lub jedenasta godzina z rana. Ludzie porozpalali sobie ognie z gotowych sągów; intendent generalny, p. Tomasz, wysłał kilka wozów pod małą eskortą do różnych wsi okolicznych, jak Wełecza, Galowa, że-

by rekwirować chleba i żywności dla ludzi, a furazu dla koni; ja chciałem się zorientować w tej leśnej pozycji, ale że nikt jej bliżej nie znał, a specjalnej karty topograficznej nie mieliśmy, odłożyłem to do sposobniejszej pory i powrotu furazerów, przestając na teraz na wystawieniu przedniej straży koło drogi ku północy przez las wiodącej. Droga bowiem, która biegła w pobliżu naszego obozowiska i ustawionych sągów, docierała o paręset kroków na północ od naszego stanowiska, do огоłoconego z drzew mokradła, na kilkanaście do kilkadziesiąt kroków szerokiego. Przez te mokradła prowadziła mała niska piaszczysta grobelka, ujęta z obu stron chrześciany płotem; zaraz za tą grobelką, gdzie znów gęsty las, w tym właśnie miejscu młody zagajnik się rozpoczynał, stała w pobliżu mała chałupka (zapewne borowego), ze stodółką (*F*); leśna ta poboczna droga wiodła ku wsi Galowu. Otóż przy tej chałupce i stodółce, w punkcie 2, postawiłem na straży oficera z plutonem piechoty. Zeszło nam w biwaku parę godzin na goto-

waniu i pozywaniu ciepłego śniadania, na troskaniu się o dostateczną dla koni wodę, na rozpatrywaniu mapy tej okolicy (ale tylko szczegółowej geograficznej) i naradach, co dalej robić i gdzie się obrócić. Dyktator przychylił się do tego, żeby w tem miejscu, jako bezpiecznem, ukrytem, dosyć wygodnem, parę dni zabawić, ażeby dać raz przecież niezbędnym ludziom i koniom wypoczynek. Koło godziny pierwszej z południa wróciły furazery z próżnymi wozami od Wełecza, przynosząc wiadomość, że się tam już dostać nie mogli, bo Moskale są we wsi. W pół godziny potem wróciły znów wozy z Galowa (zdaje mi się), przywożąc cośkolwiek siana i owsa; towarzyszący im ułani opowiadali, że zaledwie im się tę trochę furazu porwać, naładować i z nią ująć udało, bo prawie jednocześnie przybyli tam drugim końcem wsi rosyjscy dragoni, także za furazem, jak się zdawało. Po chwili od innej jakiejś wsi sąsiedniej wróciły z niczem nasze furazery, podobnie donosząc, że Moskale są we wsi. Pozycja nasza była krytyczna: staliśmy

pośród nieznanego nam ze szczegółowej pozycji, rozciągłości dokładnej i kierunku różnych krzyżujących się dróg lasu, z niewystarczającą na 24 godzin dla ludzi żywnością, z furazem na najpierwszą niewystarczającym potrzebę, i na wszystkie strony, jak się zdawało, otoczeni lub przynajmniej zagrożeni oddziałami rosyjskimi, których siły nawet nie znaliśmy. Samo nasze obozowisko zdawało się wprawdzie, wśród lasu, zupełnie od napaści bezpieczne, ale nie wychodząc z niego przez dni parę, pomarliśmy z głodu, Moskali zaś jeszcze więcej około nas zebrać się tymczasem mogło. Dyktator zdecydował się więc, ażeby natychmiast opuścić ten las i w inne przenieść się strony. Ponieważ Wełecz przez Moskali był zajęty i zdawało się, że główna ich siła w tym kierunku nas ściga, nie było więc prawie wyboru, jak tylko próbować wydostać się w świat, idąc wprost nosa, ową leśną drogą ku Galowu, którą przed sobą mieliśmy. Roznieśli natychmiast adjutanci rozkazy (mogło być około drugiej z południa), żeby przerwać wszelkie goto-

wania, pogasić ognie, zaprzęgać wozy, kulbaczyć konie i mieć się na pogotowiu do bezzwłocznego wymarszu. Ponieważ tymczasem zameldowano mi od owego posterunku przy chałupie borowego (*F*), że się Moskale w oddali ukazują, podjechałem więc tam, żeby się rozpytać i rozpatrzyć. Oficer posterunkowy nic mi z własnego widzenia powiedzieć nie umiał, bo powtarzał tylko to, co mu ktoś niewiadomy powiedział. Widzieć przed sobą nic nie można było, bo gęsty zagajnik zasłaniał widnokrąg; ale że dach chałupy górował nad zagajnikiem, kazałem więc miejscowemu chłopu wleźć na dach i mówić mi, co widzi przed sobą, ku Galowu, grożąc mu, że go na miejscu zastrzelę, gdyby mi coś ukrył lub nieprawdziwie powiadał; jednocześnie kazałem przywołać z obozu kilku ułanów i posłałem ich drogą ku Galowu, żeby mi zaraportowali, co zobaczą. Drżący od strachu chłop wleź na dach i przez kwadrans lub pół godziny recytował mi kolejne swoje spostrzeżenia: „Nic nie widać, proszę Jego mości; coś się rusza w krzakach, ale bar-

dzo daleko; teraz cicho; teraz dwóch ludzi widać z błyszczącą bronią; znów ich nie widać; teraz ich więcej, ale daleko; już ich niema; kozak z dzidą wyjechał na polankę; znów odjechał; teraz kilku żołnierzy na koniach smyrnęło przez krzaki i t. p.“ Widoczną było, że nieprzyjaciel jest w naszej bliskości i jakieś ruchy, prawdopodobnie ku nam odbywa. Zawróciłem więc, żeby dyktatorowi o tem donieść. Ledwom od chałupy (*F*) był odjechał i ową grobelkę na mokradle przebył, kiedy nadbiegły wysłane przezemnie ku Galowu ułany, potwierdzając moje spostrzeżenia dosyć płochliwem i pomieszanem wołaniem: „Moskali widać; Moskale są; Moskale idą“. Nic bliższego, jak zwykle, dowiedzieć się od nich nie było można; widać, że gdzieś daleko w krzakach postrzegli konia, dzidę lub karabin i zaraz co prędzej nawrócili. Nawiasowo nadmieniam, że oficer nasz stojący z plutonem piechoty w punkcie 2 przy chałupie *F*, widząc wracających drogą owych kilku ułanów, zatrzymał ich i o nowiny zapytał, a usłyszawszy, że Moskale się zbli-

żają, zamiast odpowiednie wydać swym ludziom rozporządzenia i tem mocniej w chałupce i stodółce się usadowić, uznał za stosowne, nikogo zgoła o tem nie uprzedzając i nikomu nie raportując, opuścić swój posterunek i do pułku swego wraz z plutonem powrócić, o czem dopiero w ciągu bitwy przypadkowo się dowiedziałem. Faktycznie więc byliśmy od tej chwili bez żadnej zgoła przedniej straży. Przybywszy do głównego naszego obozowiska, gdzie wszystko już stało pod bronią w pogotowiu do marszu, zaraportowałem dyktatorowi, że mnożą się oznaki o jakichś ruchach nieprzyjacielskich od strony Galowa. Langiewicz odparł głośno, z rodzajem brawady, dosyć mu zwykłej w nieco krytyczniejszych chwilaeh (zapewne dla dodania ducha otaczającym przez swą pewność i zimną krew): „Tem lepiej; to pójdziemy na ich spotkanie“. Był on przekonany, jak mi się zdaje, że główna siła nieprzyjacielska jest za nami, od strony Wełecza, że zaś przed sobą, ku Galowu, mamy tylko co najwięcej jakiś mały oddział Moskali, w tej

wsi furazerujących. Spytałem, czy nie każe zmienić porządku kolumny marszowej, odpowiednio do blizkiego z nieprzyjacielem spotkania (kolumna bowiem marszowa szykowała się w tym samym co z rana porządku); ale on z taką samą odpowiedzią brawadą: „Niema potrzeby“. Jakoś w głowie pomieścić mi się nie chciało, żebyśmy na prawdopodobnego, a z siły, pozycji swej, i ruchów nieznanego nam nieprzyjaciela maszerowali, jak zwykle, w długiej kolumnie marszowej i to drogą śród krzaków i lasu, gdzie ani co widzieć przed sobą i około siebie, ani się rozwinąć niepodobna; nalegałem więc na dyktatora, żeby pozwolił mi wysłać chociaż żuawów na bocznych eklererów. Po niejakiem wzdrygnięciu się przystał na to Langiewicz. Wziąłem więc Rochebruna ze żuawami, przeprowadziłem przez grobelkę na mokradle ku zagajnikowi po lewej stronie drogi Galowa i postawiwszy go w punkcie 4, dałem mu instrukcję, żeby rozsypał część żuawów w tyraliery przed sobą, a z resztą w odwodzie za nimi postępował i w takim szyku

szedł naprzód aż do przeciwnego krańca lasu i zarośli; tam miał się zatrzymać i czekać, aż się główna nasza kolumna, drogą ku Galowu, z lasu wychylać zacznie. Zmiarkowawszy, że to jeszcze nie zupełnie wystarczające, wróciłem ku obozowisku naszemu i poleciłem jednemu z kapitanów piechoty, ażeby ze swoją kompanią strzelecką w podobnyż sposób po prawej stronie drogi w punkcie 5 się uszykował i naprzód lasem postępował. Czy ów kapitan spełnił ten rozkaz, tego nawet nie wiem po dziś dzień, bo gęsty ogień, który niedługo potem ze wszystkich stron grzmieć i trzaskać począł, nie pozwolił mi rozpoznać, czy i od prawej strony drogi ku Galowu, t. j. od punktu 5 z naszej strony strzelano. Prawdopodobieństwo wszelako za tem przemawia, że ostatnia moja dyspozycja pozostała nie wykonaną. Pułkownik Borzysławski ruszył ku ariergardzie naszej, u punktu 3, przy budce C stojącej i zadysponowawszy Czachowskiemu, żeby powoli cofał się za nami, skoro w pochód ruszymy, wrócił do dyktatora. Wreszcie

główna nasza kolumna w marsz ruszyła. Idąca na czele piechota w małej części przekroczyła ową grobelkę na mokradle i zbliżyła się do chałupy *F*; część znajdowała się właśnie na grobelce; reszta, nie mając jeszcze miejsca do wyciągnięcia się w długą a wąską kolumnę marszową, stała jeszcze w kłęb zwinięta i nieco pomieszana w bliskości naszego obozowiska; kawalerya podobnie w kłęb zwinięta, nieco na prawo od piechoty, czekała aż na nią kolej maszerowania przyjdzie (1, 1, 1), dyktator zaś ze sztabem stał w punkcie 6, w pobliżu grobelki, na lewo od maszerującej kolumny, przypatrując się jej stopniowemu wysnuwaniu się z kłęba i przemarszowi, kiedy naraz, od strony zagajnika, w którym się znajdował Rochebrune, pierwsze dały się słyszeć strzały karabinowe. Mogła być wtedy trzecia po południu. Wszystko się pomimo woli w rozpoczętym ruchu wstrzymało i jakby do miejsca przykute, w milczeniu coraz to gęstszych słuchało strzałów. Niebawem po tej zwawej pukalinie tyralierskiej, z której nie uważałem,

żeby kule do nas dochodziły, zagrzmiały w wielkiej od nas bliskości, wprost chałupy *F* i drogi do Galowa, działa nieprzyjacielskie, śląc na grobelkę, na maszerującą naszą kolumnę i na zwinięty jeszcze kłęb piechoty, kawaleryi i wozów, ogień kartaczowy, nader żwawy; wkrótce potem sy-pnął się z poza krzaków i gęstwiny i w tym-że samym kierunku nadzwyczaj gęsty plutonowy ogień piechoty nieprzyjacielskiej. Widocznie Moskale najdokładniejszą o naszym obozowisku mieli wiadomość i ustawwszy działa, oraz piechotę w zagajniku na kilkaset do sześciuset kroków od grobelki, otworzyli ogień działowy i karabinowy w kierunku tego obozowiska, śląc kule przez lekką elewację ponad niebardzo jeszcze wysoki zagajnik; z rodzaju zaś świ-stu kul karabinowych widać było, że piechota strzela z gwintowanej broni stożkowymi kulami, które na tysiąc kroków i dalej donoszą. Niespodziany i gwałtowny ten ogień wielki wywołał w naszej kolumnie popłoch, czyli raczej przerażenie. To, co przed grobelką już było wyszło, cofnęło

się ku niej instynktowo; ponieważ zaś mokradło i grobelka na niem nieco niżej od reszty lasu leżały i mniej były tym sposobem narażone na kule, przeważnie górą idące, więc ci znowu, co jeszcze nie byli doszli do grobelki, instynktownie się ku niej cisnęli, tak że na grobelce, śród owych chruścianych opłotków, jako też w pobliżu jej, wielki powstał ścisk. Niebawem rozległ się huk gęstych strzałów na naszych tyłach, t. j. od strony Czachowskiego. Kawalerya nasza, w punkcie 1, na prawo owego nierozwiniętego jeszcze kłębu stojąca, pierzchła pierwsza z placu, salwując się przed kulami i kartaczami, na prawo, w kierunku mokradła i niezupełnie lub mało zarosłych jego brzegów, w zupełnym nieładzie i popłochu. Jużem jej potem nie widział¹⁾. Tabor wozów, nie mogąc mokradłem uciekać, salwował się w różne

¹⁾ Pewnem uniewinnieniem dla kawaleryi jest to, że jazda bez tego śród lasu i zarośli nic wskórać nie może; usunięcie się więc jej z pod niszczącego ognia, wśród okoliczności, gdzie nic zgoła pomódz

strony, jak mógł i o ile mógł, wśród pieńków, drzew, korzeni, łamiących się i wywracających wozów. Co się właściwie zrobiło z kłębem nierozwiniętym jeszcze piechoty za mną (a stałem przy dyktatorze w punkcie 6), tego dobrze nie wiem, bom miał zwróconą uwagę na rzeczy przed sobą i przelotnie tylko widziałem, jak kawalerya w rozsypce uciekała na prawo, grzęznąc w błocie z końmi, i słyszałem krzyki i trzask pierzchającego w różne strony, śród zarośli, taboru wozowego. Przedemną na grobelce i przed grobelką stały, w gęstą zbite kupę, z jakie dwa bataliony kosynierów, na wpół do ziemi przytulone; żeby się lepiej od kuli ochronić; przerażenie śród nich tak było wielkie, że widocznie zdobyć się nie mogły na inicjatywę najmniejszego ruchu, chociażby też ruchu wstecznego lub ucieczki. Ale jakże biedni ci, wycieńczeni,

nie mogła, niejaka ma niby wymówkę. To tylko fatalna, że to bezładne pierzchnięcie, zwiększyło już i tak niemały popłoch i ostateczną sprowadziło rozsypkę.

zgiebni, zgłodnieli i do krycia się w lesie przed okiem nieprzyjacielskim od tak dawna przyzwyczajani ludzie, nie mieli być przerażeni, kiedy ich oficerowie w dużej części pierwsi dawali przykład tego przerażenia. I tak na przykład ze zgorzeniem ujrzałem jednego z kapitanów, klęczącego na ziemi wśród swoich ludzi i w głos odmawiającego jakąś litanję do Matki Boskiej czy też modlitwę konających. Ow ksiądz kapucyn (co go później w Warszawie powiesili) nie oszczędzał siebie wprawdzie bynajmniej i był osobiście pełen animuszu i odwagi, ale okazał brak taktu, oraz niezajomość serca ludzkiego i wojny, wybierając taką właśnie chwilę do egzaltowanego perorowania przerażonym kosynierom, z podniesionym krzyżem w rękę, o potrzebie poświęcania życia za ojczyznę, o zasłudze śmierci z ręki nieprzyjaciela i t. d., wszystko to bowiem może wreszcie zrodzić w prostym i przełęczonym człowieku bierną gotowość poniesienia śmierci, ale do wszelkiego czynnego poruszenia i przedsięwzięcia najzupełniej bezwładnym go czyni.

Kule i kartacze, które od czasu do czasu nawet w tę przychylną do ziemi masę ludzi trafiały, tu zabijając, tam raniąc, dopełniały dzieła chwilowego przerażenia. Dyktator, a w koło niego Waligórski, Jeziorański, Borzysławski, p. Tomasz, ja, oraz różni adjutanci, gwałtygierzy i sztabowcy, wszystko to stało na koniach, nieruchomie, w punkcie 6, w kupce około dwudziestu ludzi. Langiewicz największą okazywał determinację i zimną krew, ale milczał zupełnie, patrząc przed siebie ze zmarszczonymi brwiami. Staliśmy w najgęstszym ogniu; kule karabinowe brzęczały i świszczały w około, jak rój pszczół, w dużej części jednak przenosząc nas; mało kto w tej kupce nie miał konia lub odzieży uszkodzonej od nich, ale mało też kto, cudownym jakimś trafem, odniósł szwank osobisty; przypominam sobie tylko, że zaraz z początku ognia, kartacz trafił w samą głowę, stojącego na koniu o parę kroków od dyktatora, Witolda Zacherta, adjutanta generała Waligórskiego, bardzo miłego i uzdolnionego młodzieńca z francuskiej szkoły

artyleryi w Metz. Spadł z konia, na miejscu zabity. Pułkownikowi Borzysławskiemu porozrywały kule obszerny jego włoski płaszcz w kawały, lekko go tylko samego w krzyże drasnawszy. Niezadługo do tego gradu kul, idących na nas od frontu, przyłączyły się kule, idące z tyłu i boku, od strony sągów, około których było przed południem nasze obozowisko. Tymczasem ogień karabinowy Rochebruna, w owym zagajniku na lewo, widocznie od nas się oddalał; rozeznać było można po strzałach, że się żuawy zaroślami naprzód posuwają; jednocześnie zaczął ogień nieprzyjacielski nieco słabnąć. Miarkując z tego wszystkiego, że żuawy górę biorą, że Moskale wobec tak dzielnego oporu miękną i cofać się zaczynają, przyszedłem do przekonania, że jakie takie poparcie żuawów z naszej strony i na pozór chociaż zaczepne wystąpienie skłoni nieprzyjaciela do zupełnego odwrotu i prawdopodobnie odda nawet w moc naszą działa rosyjskie, w krzakach odprzodkowane, gdyż ich Moskale nie zdążą z zarośli uprowadzić. Poskoczyłem więc ku ko-

synierskiemu batalionowi na grobelce, wzywając dowódcę batalionu, żeby go uformował w linię po prawej stronie drogi i szedł naprzód krzakami z okrzykiem „hura!“. Dowódcą tym był młody oficer, dawniej z wojska rosyjskiego, skądinąd znany mi jako rzeźki młodzieniec i dobry oficer ¹⁾). Ale tą razą determinacja mu nie dopisała: zamiast zachęcać batalion lub iść naprzód, zaczął się z koniem swoim cofać od grobelki w tył i na prawo, ku mokradłu. Widząc wsteczne wahanie w batalionie, zagroziłem mu drogę i dobywszy rewolweru, groźbą i prośbą zachęcałem ludzi, żeby szli naprzód, przedstawiając, że im nic się nie stanie, jak prędko biedz będą krzakami, że weźmiemy moskiewskie armaty i t. d. Ponieważ, jako zupełnie ochrypły, czyli raczej głosu pozbawiony, z największym tylko wysileniem dobywałem z chorych płuc i gardła jakieś nienaturalne i pi-

¹⁾ Było kilku braci tego nazwiska, a opis bitwy Grochowieckiej, nie wiem przez kogo później w „Czasie“ zamieszczony, powiadał, że ci bracia K... do zwycięstwa naszego głównie się przyczynili!

skiwe tony, przyskoczyło mi więc na pomoc kilku oficerów, w liczbie których pamiętam Pustowójtównę i Aurelego Balińskiego, gwałtygiera (brata zmarłego poety, Karola Balińskiego). Pustowójtówna wołała na kosynierów: „Nie bójcie się dzieci, nic wam nie będzie, idźcie naprzód!“ Baliński także zachęcał, ducha dodawał; ja zaś, widząc, że nic nie pomaga, przestałem wreszcie nalegać, żeby szli naprzód, żądając tylko, żeby krzyczeli z całego gardła „hura!“, w przekonaniu, że i to już od biedy pomoże nam, zachwianych Moskali ustraszony i może w ręce żuawów wyda. Ale wszystko na próżno! ludzie za bardzo przeżeni, a ja wynędzniały, jak szkielet, z piszczącym głosem fistułowym, cudacko obrośnięty, obwinięty koło gardła wełnianym szalikiem, z oczyma od kilkudniowej gorączki i wycieńczenia sił przygasłymi, za mało posiadałem impozycji i warunków do porywania ludzi, żeby mózgi tych biedaków zelektryzować i na duchu podnieść. Kiedym jednak znów uporczywie na oficerów batalionu nastawać zaczął, żeby wy-

prowadzili swoich ludzi z grobelki w las na prawo i szli naprzód, odezwały się głosy: „Przecież tu płot jest i przejść nie można“. Wistocie, jakem to wyżej już wzmiankował, grobelka owa i część drogi, na której batalion stał w kupę zbity, ujęta była z obu stron chruścianym płotem. Przerazeni ci ludzie, w biernej swej nieruchomości i skamienieniu, płot ten pomimo woli za nieprzebytą uważali ścianę. Na wpół z gniewem, na wpół ze śmiechem z tak oryginalnego argumentu, zakrzyknąłem: „A co u licha? to niech kilku kosynierów chwyci za koły od płota, to się płot obali; no! dalej wiara do kołów“. Słuchając rozkazu, po kilku ludzi chwyciło każdy kół u płotu po prawej stronie grobelki, i przez kilka chwil podważając i bujając połączonymi siłami, całe chróściane przeszło z trzaskiem na łączkę i mokradło obalili. „No, dalej majorze — zawołałem — macie teraz przejście, szykujcie co prędzej batalion na prawo.“ Ale nastąpił rezultat wręcz przeciwny memu oczekiwaniu. Cały ów batalion stał dotąd jak skamieniały i za-

czarowany wśród owych opłotków; obalenie płotu od strony prawej, od strony, ku której i kawalerya i inne rozpierzchnione hufce mokradłem i łączką w gąszcz leśny, od strzałów daleki, uciekały, wywarło ten sam skutek, jak gdyby podniesiono upust w ścieśnionym korycie; czar się rozwiął i cała ta chmara ludzi zaczęła się instynktownie wylewać z grobelki na mokradło, nie myśląc bynajmniej o szykowaniu się w krzakach po prawej stronie drogi do Galowa, ale, podążając za kawaleryą i innymi uciekinierami; ponieważ dowódzca batalionu w tej ucieczce na koniu przewodniczył, ruch stał się więc niewstrzymanym i porwał ze sobą wszystko, co jeszcze w okolicy grobelki i naszego obozowiska pozostawało: wszystko w nieładzie i popłochu salwowało się na prawo w gąszcz lasu. Langiewicz stał jeszcze z jakie pięć minut lub więcej w punkcie 6, bez żadnego już zgoła wojska i mając około siebie tylko sztab i orszak mniej więcej 20 koni i ludzi wynosić mogący, t. j. generałów, adjutantów, Borzysławskiego, mnie, Pustowójtównę, intendenta ge-

neralnego i część gwałtygierów. Pamiętam, że z głęboką goryczą w duszy patrząc na pierzchające w nieznany las resztki naszego wojska, odezwałem się do stojącego obok pułkownika Borzysławskiego, któremu kule płaszcz w szmaty z tyłu poszarpały: „Niema nawet żadnej satysfakcyi dać się w takiej bitwie zabić“. Po kilku chwilach takiego milczącego naszego osamotnienia, gdy ogień nieprzyjacielski, lubo nieco folgujący, nie ustawał iść na nas i kiedy żadnej już zgoła nie było racyi stać, jak malowany w tym ogniu, bo nikt już nawet nas nie widział, pokłusował Langiewicz w ślad za swoją rozpierzchnioną armią na prawo w las, przez łączkę, mokradła i krzaki, a my wszyscy za nim. Mogła być wtedy godzina wpół do czwartej lub czwarta po południu. Byliśmy zupełnie rozbici, rozprószeni, a co gorsza, na duchu bardzo upadli. Oddziału żadnego lub spoistej kupy już nie było nigdzie widać, tylko spłoszone, pomieszane na los szczęścia i w gąszczu lasu i jakiegoś trzęsawiska przypadkowo spotykające się indywidua. Na chwil kilka

owa kupka sztabowa potraciła się także z oczu wśród bezdrożnych zarośli; nie wiedząc, gdzie dyktator, pytałem napotykanym w gąszczu powstańców o skazówkę; ale ci w głębokim milczeniu przyczajeni wśród gąszczu, odpowiadali zwykle, szepta-jąc: „Pst! cicho! nie trzeba głośno gadać, boby nas Moskale usłyszeć mogli“. Po niejaki-
kim czasie odszukałem wreszcie dyktatora i powoli cały niemal konny sztab na powrót się znalazł razem, a przynajmniej w bliskości. Langiewicz jechał z Borzysławskim, Waligórskim i Jeziorańskim i widocznie pogrążony był w poufnej, rozpoczętej z nimi pogadance, której treści domyślałem się tylko mniej więcej z wzdrygania ramionami interlokutorów i z ich dekurażowanej gestykulacyi. W ten sposób błędziliśmy czas niejaki lub przystawali, w okolicy lasu, gdzie było cicho i bezpiecznie i gdzie, jak się zdawało, większa część rozprószonego wojska naszego kryła się po krzakach. Naraz dyktator podjechał ku mnie i rzekł mi: „Wyszukaj też na mapie, mój szefie, i wytknij drogę mniej więcej

bezpieczną dla kilkunastu koni do granicy galicyjskiej“; poczem do swojej grupy wrócił. Dobyłem więc z zanadrza tej karty geograficznej, którą zawsze przy sobie nosiłem i, o ile się dało, siedząc na koniu, przy padającym śniegu (drobny bowiem i mokry śnieg przez cały ciąg bitwy padał), kombinowałem z rozwiniętej karty i z wiadomych mi różnych załóg rosyjskich po miasteczkach, żadaną marszrutę; wreszcie wykombinowawszy, spisałem ją ołówkiem na kawałku papieru; pamiętam to tylko z niej, że szła na Wiślicę i dochodziła do Nowego Miasta nad Wisłą. Ponieważ jednak dyktator znikł mi tymczasem z oczu, włożyłem więc karteczkę ową do kieszonki i dalej lasem błądziłem. Po jakimś czasie znaleźliśmy się znowu wszyscy mniej więcej ze sztabu i przystanęliśmy w okolicy, gdzie liczne i coraz bardziej zbierające się znów do kupy, przybywały grupy powstańców. Gdzieby to było? dokładnie oznaczyć nie umiem, miarkuję tylko z kierunku naszej ucieczki i błądzenia, że to mogło być mniej więcej

w punktach 10, 10, 10, nieco na północ jakiegoś trzęsawiska, które zdawało się być przedłużeniem owego mokradła przy grobelce. Langiewicz ze sztabem stał w punkcie 11.

Tymczasem odgłos strzałów działowych i karabinowych słabnął powoli, rzedniał, wreszcie ustał zupełnie. Głuche w całym lesie zapanowało milczenie. Wtedy dyktator odezwał się do swego otoczenia: „Musimy pojechać na rekonesans; chciałbym się rozpatrzyć w pozycji naszej“. Ruszyliśmy więc za nim, w jakie 20 koni (t. j. Jeziorański, Waligórski, p. Tomasz, Borzysławski pułkownik, ja, Pustowójtówna, różni adjutanci i gwałtygierzy), lasem, w kierunku wschodnio-północnym. Ponieważ drogi nie było i przedzieraliśmy się zarosłami i krzakami, siebie i konie drapiąc gałęziami, postępowaliśmy więc bardzo zwolna, w długim sznurku, po dwa konie frontu, a czasem gęsiego. Mogła być wtedy godzina piąta po południu. Po niejakim czasie takiego błędzenia, widząc, że tylko coraz głębiej w nieznany las, w nieznanym

brniemy kierunku i wśród gąszczy nic zgoła nie widzimy i ujrzyć nie możemy, jak bezpośrednio nas otaczające drzewa i krzaki, podjechałem do Langiewicza i rzekłem mu: „Dyktatorze, brnąc w ten sposób w las, nic nie zobaczymy, a stracimy ślad powrotu do naszych ludzi. Możesz nawet dyktator wpaść niespodzianie w ręce kozaków“. Na to odpowiedział mi Langiewicz ironicznie i zimno: „Bo widzisz, szefie, ja się bardzo boję, więc dla tego w las jadę“. Naturalnie po takiej szyderskiej odprawie zamilkłem, cofnąłem się w tył przedzierającego się przez krzaki hufca sztabowego i jużem więcej ust nie otworzył przez cały ciąg naszego jeżdżenia po lesie. Gdzieśmy jeździli, tego nie wiem, to tylko pamiętam, żeśmy wciąż gąszczem postępowali mniej więcej w kierunku zachodnio-północnym, tak jak kropkowana linia kręta od punktu 11 do punktu 12 wskazuje, żeśmy główną drogę leśną z Wełecza na północ G, G, w poprzek raz przecięli, i żeśmy przejeżdżali także w małej odległości od owych sągów, przy których było z rana

nasze obozowisko. Kiedyśmy jadąc w ten sposób lasem, byli może w połowie drogi z punktu 11 do punktu 12, dotychczasową ciszę przerwały naraz strzały karabinowe, rozlegające się w oddali, mniej więcej w stronie lasu, ku której wojsko nasze było pierzchnęło, a więc w stronie północno-wschodniej. Ogień stawał się coraz żywszy, a wśród niego słyhać było różne sygnały rosyjskie, na wojskowych trąbach strzeleckich dawane. Jeden z jadących z nami gwałtygierów, kapitan Leniewski¹⁾, wprzód rosyjski oficer, znający doskonale rosyjskie sygnały, tłumaczył dyktatorowi te, które teraz kolejno po sobie, w pewnych odstępach czasu następowały, i tak

¹⁾ Ten Leniewski był dzielnym i bardzo zdeterminowanym oficerem. Rozmawiałem z nim nieraz o tem, że właściwie Moskale prowadzą wojnę partyzancką, bo wszędzie ich pełno, wszędzie nas ścigają i szarpia, a my tylko po lasach się chronimy, działalność powstania ograniczając na zajmowane chwilowo leśne schronienie. Mówiłem, coby to mały hufiec 50-ciu śmiałych i zdeterminowanych jeźdźców mógł nadokazywać, przenosząc się z miejsca na

n. p.: „Czwarta rota strzelecka, rozsyp się w tyraliery.“ — „Stój.“ — „Rezerwy tyralierskie naprzód.“ — „Trzecia rota strzelecka idź w pomoc.“ — „Rozsyp się.“ — „Rezerwy w pomoc.“ — „Tyraliery do zboru.“ — Wreszcie po upływie trzech kwadransów lub godziny takiego strzelania i takich sygnałów, rozległy się sygnały: „Tyraliery cofnijcie się.“ — „Zbór ogólny.“ — „W tył.“ — poczem ogień zaczął słabnąć, gasnąć, wreszcie poprzednia zajęła znów w borze cisza. My tymczasem, słuchając tego wszystkiego, jechaliśmy wciąż bezdrożnym lasem, wciąż nic innego przed sobą nie widząc, jak gąszcz i wysokopienny bór, krzakami i drobnymi choin-

miejsce, alarmując co chwila Moskali, łącząc niejako różne województwa i korpusy powstańcze ze sobą, objaśniając okolice naszej głównej armii i t. d. Sta-
nęło wreszcie między nami, zdaje mi się podczas pobytu w Chrobrzu, że on uformuje niebawem rodzaj polskich kozaków, wybierając po swojej myśli, z całego naszego korpusiku kilkudziesięciu ryzykownych i zdeterminowanych jeźdźców. Langiewicz zgodził się na nasz plan. To, co zaraz potem zaszło, udaremniło go.

kami podbity. Wreszcie, kiedyśmy mniej więcej do punktu 12 dojechali, i kiedy zmrok już zapadać poczynał, uznał sam Langiewicz bezcelowość dalszej podobnej wędrówki po lesie i kazał nawrócić. Szczęściem, że podczas naszej jazdy wzmógł się był znów nieco śnieg od południa pruszący, tak że ślad dwudziestu koni naszych pozostał wśród bezdroży i zarośli widoczny; inaczej, aniby o tem nie mogło być mowy, żebyśmy o zmroku, który niebawem w noc się przemienił, trafili przez bezdrożny i nieznaną las do swoich. Wszystko więc na miejscu zawróciło, Langiewicz wysunął się do czoła przeciągłego naszego hufca (bo tylko po dwóch, a często zaledwie po jednym przez gąszcz jechać było można), i poczęliśmy wracać zupełnie tą samą drogą, najpilniej wydeptanego w słabym i topniejącym śniegu śladu naszego pilnując, bo to jedyna była nić, która nas po zmroku z tego labiryntu wyprowadzić mogła. Jako próbkę obustronnego zamieszania i błędzenia, nieodłącznego od wojskowych ruchów i bitwy w gęstym, rozległym i nie-

znanym borze, przytoczę ten oryginalny szczegół, że kiedy wracając tym sposobem, przecinaliśmy znowu ową główną drogę leśną G. G. i kiedy kilku z nas w tym gęsim marszu nieco z tyłu pozostało, paru kozaków kłusujących ową drogą, skrzyżowało się z nimi i, nie wiem, czy z naiwnej dobroduszości, czy nie poznając po zmroku, że to powstańcy, czy też chcąc sobie dać jakiś kontenans, zapytało ich w przelocie prędko i zafrasowanym głosem: „Nieznajecie wy, gdzie nasi dragony?“ i nie czekając odpowiedzi, dalej ku Wełeczowi pokłusowali. Widać, że Moskale zgubili gdzieś w lesie podczas bitwy swoich dragonów, i że teraz rozsyłali kozaków, żeby ich odszukać. Kiedyśmy napowrót z Langiewiczem w okolicę punktów 10, 10, 10 przybyli, zupełnie już było ciemno, ani więc jasno wiem, gdzieśmy przystanęli, ani też mogłem widzieć, co z naszego wojska w tej okolicy się znajduje; pamiętam tylko, żeśmy dla odpoczynku posiadali z koni w przesmyku leśnym, wyglądającym niby jaka droga, wolnym nieco od wielkich

drzew, i że z gwaru okolicznego, z jęku rannych, z przesuwających się postaci żuawów, ułanów, kosynierów, lekarzy, oficerów i chłopów z biczami, wnioskować było można, że w tej okolicy lasu poznajdowała się napowrót nietylko większa część naszego wojska, ale nawet niemała ilość wozów taborowych. Z rozrzuconych opowiadań o tem, co w tych stronach podczas naszej dwugodzinnej blisko nieobecności zaszło, zestawiam taki obraz, jaki mi się podówczas w głowie utworzył, nie ręcząc wszelako bynajmniej za jego prawdziwość, nic bowiem z tego wszystkiego sam nie widziałem, tylko sobie wykombinowałem z niejasnych i często ze sobą niezgodnych dat różnych opowiadających osób. Kiedyśmy około godziny piątej po południu z okolicy 10, 10, 10 byli na ów sławny rekonesans odjechali, zjawił się tam Rochebrune pieszo i sam, żuawów bowiem swoich zostawił jeszcze, jak się zdaje, w okolicy punktu 4. Opowiadał on zebrany wkoło niego pułkownikom i oficerom, z właściwą sobie i Francuzom wogóle em-

fazą i z gorączkowym rozdrażnieniem dowódcy, którego w najcieńszym ogniu samego z małym oddziałkiem zostawiono, jak żuawi jego mężnie walczyli z przeważnym nieprzyjacielem; jak Moskale nagle ustępować przed nimi zaczęli; jak się żuawi rzucili na odprzodkowane w krzakach armaty; jak mieli już prawie te armaty w swoim ręku i byłiby je z pewnością zdobyli, gdyby najmniejsza z naszej strony przyszła im była pomoc. Rozpalony własnym rozgorączkowaniem posunął się w końcu do wykrzyków, może w gruncie nieco słusznych, ale w każdym razie bardzo nieprzyzwoitych i obelżywych: „Vous êtes tous des lâches! vous ne méritez pas d'avoir une patrie, car vous ne savez pas mourir pour la patrie!“ i t. p. Jeden z wyższych oficerów, obrażony do żywego takimi przechwałkami i naukami moralnymi, rzekł mu, iż dziwna jest rzecz, że on, Rochebrune, który innych tak pięknie poucza, sam jednak swoich ludzi w lesie gdzieś opuścił i niepotrzebnie tu przylazł. Na to Rochebrune, z emfaticzną fanfaro-

nada, która u Francuzów idzie niekiedy z rzeczywistą dzielnością w parze, wykrzyknął: „Il n'y a plus des zouaves! ils sont tous morts sur le champ d'honneur“, co było zupełną nieprawdą, jak się później okazało, bo wogóle zginęło może kilkunastu żuawów, a kilkunastu było rannych. Bądź co bądź, wśród takiego certowania, odezwały się naraz od strony punktu 16 rosyjskie strzały pojedyncze. Rochebrune zaczął wtedy zachęcać, żeby jaki oddział z rozprószonych, a w punktach 10, 10, 10 przebywających powstańców, ruszył w las przeciwko nowemu temu atakowi Moskali. Wszelako nie było już żadnego zwartego oddziału i nie było w całości skupionych tam powstańców dostatecznego animuszu. Pojedynczy jednak oficerowie, bądź to własnym pędzeni uczuciem obowiązku wojskowego i patryotycznego zapału, bądź dotknięci świeżymi wyrzutami Rochebruna i chcący poprzednią rozsypkę i ucieczkę powetować, jeśli gorąco wzywać i pobudzać do pójścia na ochotnika. Tym sposobem zebrała się kupa kilkuset ochotników z ró

żnych pułków pieszych, po większej części młodzieńcy powstańcy z inteligencji, pełni poświęcenia i zapału, ale z nimi niemało także prostych ludzi, kosynierów, i to wszystko rzuciło się w las pod przewodnictwem niewielu oficerów, w liczbie których odznaczyli się: pułkownik Dąbrowski, gwałtygier Aureli Baliński, Rochebrune i inni, naprzeciw zbliżającym się Moskałom. Rychło przyszło do starcia w lesie, przy czem Moskale postępowali mniej więcej od punktu 16, a nasza chmara ochotników od punktu 15. Walka była po większej części tyralierska, ale przychodziło także co moment do starcia oko w oko. Nasi walczyli z męstwem i zaciętością; szczególnie zacięci byli kosynierzy, którzy pierzchającym lub broń rzucającym Moskałom pardonu żadnego nie dawali, tylko rąbali ich, bezbronych nawet, kosami. W końcu Moskale, straciwszy w poległych majora, kilku oficerów i bardzo wielu żołnierzy, niemało w rannych i dwudziestu kilku w jeńcach (których się naszym wykształconym ochotnikom od zaciętości kosynierów ura-

tować udało), pierzchnęli z lasu w popłochu i nieporządku. Nasi wrócili też do okolicy, z której byli wyszli, t. j. mniej więcej do punktów 10, 10, 10, poniosłszy także niemalą, ale od Moskali dużo mniejszą stratę w zabitych i rannych. Usłyszawszy taką opowieść o odniesionem zwycięstwie, Langiewicz, przemówił z pewną emfazą do otaczających, winszując odniesionego zwycięstwa, rozkazując ogłosić je zaraz całemu wojsku i t. d. Wobec tak nagłej przemiany naszego położenia i wogóle naszego animuszu, jużem naturalnie ani pomyślał o wręczeniu dyktatorowi owej kartki z żadaną przez niego przed paru godzinami marszrutą ku granicy, on też nic mi już o niej nie wspomniał; została więc ona w mojej kieszonce, zapomniana i nieużyta. Chodziło już teraz tylko o to, co dalej ze sobą i wojskiem zrobić. Ja radziłem Langiewiczowi, żeby, kiedyć jesteśmy zwycięzcami, nie siedzieć dłużej w tych mokrych, ciemnych i nieznanym gąszczach, ale podążyć do owych sągów, gdzie biwakowaliśmy z rana, a do których od biedy

można było i po ciemku trafić, i tam roz-
paliwszy sobie porządne ognie ze suchego
i gotowego drzewa w znanej nam dziel-
nicy lasu, dać wczas pomęczonym ludziom
i koniom i doczekać się rana i białego
dnia. Powodowała mną, przy tej radzie,
w części myśl, żeby w takim centralnem
leśnem stanowisku módz w ciągu nocy
pościągać rozprószonych, pozbierać rannych
i t. d., w części zaś może, przyznaję, oso-
bista, instynktowa tęsknota za odpoczyn-
kiem w pobliżu porządnego ognia biwa-
kowego, bom był bardzo przemokły od
mokrego śniegu, zziębnięty, zmęczony. Lan-
giewicz nie mógł się jednak na to zdecy-
dować, mówiąc, że trzeba się tu naprzód
zgromadzić, rannych poopatrywać, pood-
bierać raporty i t. d. Odparłem wtedy,
że kiedyć mamy tu jeszcze godzinę lub
dwie pobyć, niechże przynajmniej wolno
będzie porozpalać sobie ognie (surowo bo-
wiem było to wzbronione, z obawy wska-
zania Moskalom, gdzie przebywamy), bo
czegoż mamy się bać, kiedyśmy zwycięz-
cami i czemuż nie mamy ludziom dać się

przynajmniej wygrzać i osuszyć w nagrodę zwycięstwa. Po niejakiem wzdraganiu przystał wreszcie Langiewicz na danie tego pozwolenia. Kazałem je zaraz, o ile się dało po ciemku, rozgłosić pomiędzy powstańcami; taka jednak panowała między nimi niezaradność, wyczekująca bierność i ociężałość (w dużej części wskutek nadmiaru zmęczenia i głodu), że lubo wszyscy ognia pragnęli, nikt zgoła go sobie nie zrobił. Prawda, że zadanie nie było łatwe. Suche drzewa wcale nie było w pobliżu, tylko młode zielone choinki, zmoczone od śniegu; liście do podpałki, takż śniegiem i wilgocią były przesiąkłe. Ja wszelako zbyt żywo ognia pragnąłem, żebym się dał ustraszyc temi trudnościami. Wyszukałem po ciemku parę kosynierów włościan (włościan mieliśmy nader mało w wojsku naszym), spoufalonych z robieniem ognia w polu i datkiem kilku złotych spowodowałem do próbowania trudnego przedsięwzięcia. Jakoż póty znosili chrusty i gałązki, ocierali je ze śniegu, dmuchali, układali i majstrowali, aż wreszcie wcale nie-

zły zbudowali ogień. Około tego jedyne go na cały obóz ogniska skupił się rychło nie tylko cały sztab, ale i różni żołnierze, ranni i wogóle każdy, co się na chwil kilka mógł doń docisnąć. Tu to przyszedł witać dyktatora postrzelony dwa razy w dłoń Aureli Baliński, tu to przeprowadzono nam jeńców rosyjskich (dwudziestu kilku ludzi i jeden oficer, ten ostatni lekko cięty w głowę kosą i dobrze mówiący po polsku), których leżąc około ognia, badaliśmy, Langiewicz, ja i Pustowójtówna, służąca nam za tłumacza (bo wybornie mówiła po rosyjsku). Zeznawali oni jednozgodnie, że należą do rot strzeleckich pułku (zdaje mi się) smoleńskiego; że konsystowali zwykle w Stopnicy, w ilości dwóch rot i szwadronu dragonów, pod dowództwem pułkownika czy tam majora Gawryłowa; że dzisiejszego rana wyruszyli ze Stopnicy idąc do Pinczowa; że po południu zatrzymali się w miasteczku Busku (o trzy ćwierci mili lub milę od Grochowisk), gdzie oficerowie zaczęli sobie gotować herbatę na samowarach; że naraz usłyszano strzały w lesie; że ofice-

rowie przerwali robotę herbaty i kazali stanąć im pod broń; że pomaszzerowali ku jakiemuś lasowi; że kiedy do lasu wchodzili, już nie było słyhać wystrzałów; że spotkali się w lesie z powstańcami, którzy ich dużo nazabijali, a ich samych do niewoli wzięli. Ponieważ oprócz nas dwóch — Langiewicza i mnie — wielu innych także oficerów wtrącało swoje pytania, powstawały więc nieraz bardzo naturalne *qui pro quo*, które ci oficerowie brali za asumpt do lżenia tych jeńców i groźnego na nich fukania, chociaż ci biedacy, o ile umieli, prawdę mówili. I tak n. p. pyta jeden: „Ilu was wszystkiego było?“ Jeniec odpowiada: „Dwie rotę strzeleckie“. Oficer na to: „Łziesz gałganie, bo was musiało być z parę tysięcy“. Potem znowu: „Ileście mieli armat ze sobą?“ Na to jeniec: „My wcale armat nie mieli“. „Łziesz, boć do nas z armat kartaczami strzelano. Mów zaraz prawdę, psia wiaro, bo ci inaczej zaśpiwamy“. „Jej Bohu, my puszek nie imieli“. Oczywiście prości i ciemni ci ludzie o tem tylko wiedzieli, co się w bezpośrednim po-

pobliżu ich samych działa. Langiewicz także się chwilowo na tych jeńcach zniecierpliwił wskutek łatwo pojąć się dającego uczucia generalskiej miłości własnej. O rozprawę z Moskalami, którą on miał niegdyś pod Staszowem czy w Staszowie, a która swego czasu figurowała w różnych dziennikach, jako jedna ze świetnych wygranych, gdzie tyle a tyle Moskali na placu położono, toczyły się podobno jakieś kontrowersye, nie wiem, ustne czy pisane. Dostyc, że Langiewicz, wymiarkowawszy, iż dzisiejsi nasi jeńcy należeli do ówczesnej staszowskiej załogi, chciał niezbitym dowodem stwierdzić klęskę, którą wtedy Moskalom zadał; spytał ich więc: „Ilu z waszych zginęło wtedy a wtedy pod Staszowem?“ Na to jeniec: „Nikt z nas nie zginął, tylko siedmiu było rannych“. „Eh! głupiś! odrzekł dyktator i zaczął innego badać jeńca. Ten mniej więcej toż samo odpowiadał. Langiewicz był przekonany, że to wyuczona u nich lekcya, tłumaczył im, że musiało ich kilkudziesięciu przynajmniej zginąć i ostro napominał, żeby prawdę mówili. Moskali-

ska przysięgali się na Pana Boga i wszystkich świętych, że mówią prawdę i zaczęli wyliczać poszczegółowo rannych: „Iwan Łupkin z tego kapralstwa, tej rotty, ranny był w kolano; Dymitr Niezabułow z tej a tej rotty, ranny tam a tam i t. d.“. Dyktator, nie mogąc się z nimi dogadać, zniecierpliwiony, odprawił ich, mówiąc do nas, że kłamią oczywiście. Tymczasem nastąpił wieczór, a my stali w krzakach, nie biorąc żadnego postanowienia, czy to zostania na noc w miejscu, czy ruszenia w inną stronę. Lekarze opatrywali rannych, o ile się dało po ciemku; ludzie i konie pomęczeni, głodni, zziębli i przemokli, dość lichego byli, pomimo zwycięstwa, animuszu. Chwilami oddalałem się od ognia, idąc to tu, to tam. W jednej z takich chwil musiał Langiewicz odebrać jakieś nowiny z zewnątrz, bo kiedym znów do ognia i do niego się zbliżył, rzekł mi: „Pobici Moskale cofnęli się do Galowa i zatarasowali się we wsi na noc; w Wełeczcu zaś niema ich wcale. Pomaszerujemy na noc do Wełecza“. Zaczęto więc skupionym ludziom w lesie

podawać po ciemku rozkaz gotowania się do marszu, ale nim się to wszystko jakoś pozbierało i wyszykowało, nadeszła godzina 10 lub 11 z wieczora. Wkońcu ruszyliśmy z lasu i wydostaliśmy się na drogę do Wełecza. Langiewicz ze sztabem jechał prawie u czoła kolumny; z tyłu wlokła się reszta ludzi, koni, wozów i rannych, w miarę, jak się po ciemku z lasu na drogę wygrzebać mogła. Kiedyśmy już prawie do Wełecza dojeżdżali, spostrzegliśmy na prawo ode drogi, w punkcie B dość mocne światło. Langiewicz, zaintrygowany coby to było, polecił, żeby paru ułanów podjechało tam i zobaczyło, co się tam świeci. Żaden ułan nie chciał wszelako próbować już tej wycieczki po ciemku i po bezdrożach, składając się pomeczeniem głodnych i niepojonych koni, które rzeczywiście prawie upadały. Adjutanci też nie chcieli z tych samych powodów; znalazł się wreszcie jakiś gorliwy gwałtygier, który wypełnił życzenie (bo już o rozkazach prawie mowy nie było) dyktatora. Wróciwszy po niejakiem czasie, zaraportował, że to jest karczma

na wzgórzu, i że w tej karczmie i do koła niej stoją dragony rosyjskie z rozkiełznanymi końmi i grzeją się przy małym ogniu. Rzucił ktoś myśl, żeby ich obskoczyć i zabrać do niewoli, ale że wcale już nie było amatorów do takiej imprezy, a rozprężenie wszelkiej karności i spójni wojskowej aż nadto było widoczne, myśl więc natychmiast upadła. Karczma ta mogła być o wiorstę lub półtory od Wełeczka. Dojechaliśmy wreszcie do tej wsi około 11 lub 12 w nocy i stanęliśmy przede dworkiem dzierzawcy, w którym byliśmy zeszłą noc spędzili. Zrazu próbowałem skłonić postreganych oficerów od piechoty, żeby małe chociaż porozstawiali posterunki na straży u kilku wejść do wsi, ale wszystko było tak znużone, rozprężone i upadłe na duchu, że tylko szyderskim uśmiechem lub oburknieniem pełnem niechęci na takie żądania odpowiadano. Nocne więc nasze obozowisko we wsi pozostało, pomimo takiej bliskości dragonów, bez żadnego posterunku i straży i każda grupa naszych ludzi, w miarę jak do wsi docierała, loko-

wała się jak mogła, rzucając się do snu po chałupach, stodołach, pod płotami i t. d. Wspomnieć mi jeszcze wypada, że dojeżdżając już do wsi, spotkaliśmy po drodze różne wozy chłopskie, wracające już to do Wełeczka, już to do wsi okolicznych. Pytani chłopi, co tu robili po nocy, opowiadali: że pracowali w polu ze sprzężajem przed zachodem słońca, kiedy w lesie strzelano; że naraz zaczęli z lasu wybiegać w nieporządku i popłochu Moskale, po 8 do 10 zdążając ku Buskowi; że Moskale ci spostrzegłszy ich w polu pracujących, wzięli ich w rekwizycję ze sprzężajem i wozami i powiadawszy na wozy, co się ich zmieściło, kazali się co tchu wieźć do Pinczowa; że zawiózłszy ich tam, wracają teraz z próżnymi wozami do domów.

Opowiadałem dotąd w porządku chronologicznym to, com widział bezpośrednio z bitew pod Chrobrzem i Grochowiskami. Teraz wypada mi przerwać na chwilę tok opowiadania, żeby zestawić jaki taki obraz całości ruchów rosyjskich i naszych przez te dwa dni, tak, jak go sobie wykombi-

nowałem z tego, com widział, słyszał i od jeńców się dowiedział. Powtarzam jednak, że to będzie moja osobista tylko kombinacja. Zdaje się, że Moskale bardzo dokładnie byli zawiadamiani o każdorazowych naszych ruchach i pozycjach. Otóż, zdaje się, że pułkownik Czengiery, który, jeśli się nie mylę, komenderował w Miechowie, dowiedziawszy się o naszym ruchu z pod Antolki ku Nidzie i podejrzewając, że chcemy ciężko nawiedzić dobra ordynackie znienawidzonego ministra Wielopolskiego, wyruszył inną drogą ku Nidzie, już to żeby na nas przy sposobności uderzyć, już to żeby zakrywać włości ministra od zniszczenia. Obrął ku temu za punkt zborny i centralny Pinczow, gdzie był *à cheval* rzeki i mógł w miarę potrzeby to lewym, to prawym brzegiem debuszować. Żeby zaś wzmocnić się do stanowczej jakiej operacji (mógł bowiem mieć ze sobą z ośm rot piechoty, szwadron dragonów, sotnię lub dwie kozaków i kilka lekkich dział konnych), posłał majorowi Zwierowowi, stojącemu w Stopnicy z dwiema strzele-

leckimi rotami i szwadronem lub półszwadronem dragonów, rozkaz, ażeby się z nim dnia 18 marca w Pinczowie połączył. Zanim jednak Zwierów ze Stopnicy wyruszył, usłyszał nagle Czengiery w Pinczowie, w nocy z dnia 16 na 17 marca lub z rana dnia 17, że Langiewicz przybył z wojskiem swem do Chrobrza i że tam wypoczywa. Obawiając się zniszczenia majorackiej rezydencji ministra przez powstańców i płynącej dlań stąd odpowiedzialności, umyślił, nie czekając już na Zwierowa, uderzyć na nas natychmiast w ciągu dnia 17 marca; chcąc wszelako uniknąć bitwy we wsi i nieuchronnego prawie wtedy spalenia i zniszczenia wsi, a może i pałacu, postanowił fałszywym atakiem przez mały oddział po prawej stronie rzeki, t. j. od strony wsi i szosy z Pinczowa, wypłoszyć nas z Chrobrza na lewy brzeg, gdzie głównymi siłami w otwartem polu z nienacka mógłby na nas uderzyć. Opis zajścia pod Chrobrzem pokazał, że zmyliliśmy niechcący ten jego plan, usunięciem się z Chrobrza, zanim jeszcze nadciągnęła kolumna

do fałszywego ataku przeznaczona. Główna siła Czengierygo, doznawszy oporu na obu skrzydłach, nie wiedząc, co się kryje i co jej zagrażać może na lewem jej skrzydle, na zarosłych wzgórzach, nie śmiała na-przód postępować, ile że już zmrok począł zapadać. Przenocowawszy gdzieś w polu i dowiedziawszy się z rana dnia 18, żeśmy z Wełecza do Grochowisk wyruszyli i że tam w pobliżu sągów drzewa rozłożyliśmy się obozem, postanowił Czengiery atakować nas znowu z dwóch stron, a mianowicie jedna lub dwie rotty piechoty miały nas fałszywym atakiem od strony Wełecza zaniepokoić z tyłu i popchnąć drogą i zagajnikami ku Galowu, gdzieby nas główna jego siła przyjęła. Dość wczesny nasz wymarsz z obozowiska i pojawienie się tyralierów Rochebruna w zagajnikach, przyspieszyły nieco otwarcie ognia ze strony głównej siły rosyjskiej. Czengiery, znalazłszy dzielny opór w Rochebrunie i suponując, że cała nasza trzytysięczna armia również dzielna i na atak przygotowana, bał się dalej w leśną bitwę zapuszczać i cofnął się z punk-

tów 7 i 8 ku Galowu. Tymczasem owa drobniejsza kolumna rosyjska od Wełecza idąca, zetknęła się na naszych tyłach (9) z tyralierami Czachowskiego (3), czyli raczej przywitała go prawdopodobnie niespodzianym ogniem. Ci, którzy byli wtedy w owym oddziale Czachowskiego, a z którymi w kilka miesięcy później rozmawiałem, nic jasnego powiedzieć nie umieli, powtarzali tylko, że będąc odcięci przez Moskali od głównego naszego korpusu, musieli się gdzieś w lasy jakieś cofnąć i błędząc, podążać ku górcom św. Krzyskim. To odcięcie mniemane jest wszelako całkiem nieprawdopodobne dla każdego, co rozważy ówczesną naszą pozycję, pozycję Czachowskiego i kierunek różnostronnych kul rosyjskich, które na nas szły z przodu i z tyłu. Przypuszczać raczej trzeba, że batalion Czachowskiego, będąc nagle ogniem przywitany od Moskali, w punkcie 9 ustawionych i od Wełecza idących, a słysząc od strony głównego naszego korpusu (1, 1, 1) gęsty ogień rosyjski, a nawet dostając może stamtąd kule daleko niosące

gwintowanej broni moskiewskiej, nie cofał się w porządku i za rozkazem na główny nasz korpus, jakby ariergardzie wypadało, ale raczej, odstrzeliwując się po trochu, usuwał się instynktownie w stronę, skąd kule i strzały nie przychodziły, a więc w kierunku punktu 13 i 14. Moskale zaś idący od Wełecza, zamiast gonić Czachowskiego w nieznanym kierunku i lesie, poszli dalej do punktu 18, strzelali stąd na naszą główną kolumnę czas jakiś, a potem poszli ku punktowi 19, żeby, stosownie do danej sobie instrukcyi, połączyć się z głównymi siłami Czengierego. Czachowski, doszedłszy do punktu 14, słysząc ogień gasnący pod wieczór i w myśli, żeśmy rozbici i że Moskale są między nim a nami, nie próbował już nawet wyszukiwać nas, ale raczej salwował się z batalionem, uchodząc coraz to dalej, aż nareszcie zdecydował się szukać w górach Świętokrzyskich schronienia i punktu oparcia do partyzantki na własną rękę. Śród tych ruchów Czengierego, pół szwadrona lub szwadron dragonów, dodanych bądź to oddziałowi idącemu na nas od We-

łecza, bądź to głównym siłom atakującym nas od Galowa, otrzymało jakieś niewiadome mi przeznaczenie samodzielne, bądź to oskrzydlenia nas, bądź alarmowania z innej strony, bądź rekognoskowania i strzeżenia jakich punktów w lesie. Dragonicy, wśród powszechnej strzelaniny, na wszystkie strony w nieznanym sobie lesie, musieli zbłądzić i nie potrafili połączyć się już z Czengierym. Nabłądziwszy się, i kiedy już zmrok zapadał, wynurzyli się zapewne z boru od strony Wełecza, a postrzegłszy w pobliżu samotną karcznię B, postanowili noc tam przeczekać i z rana swoich odszukać. Żadne więc zaczepne z ich strony kroki w głowie im przez ciąg tej nocy nie powstały, chociaż może i zmiarkowali, że jesteśmy w Wełeczu. Kiedy tym sposobem Czengiery cofał się ku Galowu z głównymi siłami, oddział rosyjski 9 łączył się z nim przez punkta 18 i 19, a zbłąkane dragony zmierzały w stronę przeciwną ku punktowi 17 i kiedy ogień zupełnie już był ustał w północno-zachodniej części lasu, odrębny epizod zaczął się w północno-wschodnim kierunku odgrywać. Oddział Zwierowa,

czyli rosyjska załoga stopnicka wyruszyła, stosownie do rozkazu, że Stopnicy tegoż dnia z rana, żeby przed wieczorem połączyć się z Czengierem w Pinczowie. Doszedłszy do Buska około godziny pierwszej lub drugiej z południa, zatrzymano się tam dla odpoczynku i posiłku ludzi. Naraz około trzeciej słyhać w Busku silną strzelaninę od strony Grochowiskiego lasu. Zwierow, w myśl elementarnego prawidła wojennego, żeby iść zawsze w kierunku słyszanych strzałów, bo się tam z pewnością będzie potrzebnym, albo może odpowiednią ewentualną mając instrukcyę, każe natychmiast przestać gotować i zabierać się do marszu w las Grochowiski, od strony Buskowi najbliższej, a więc ze strony punktu 16. Nim się Moskale wybrali, nadeszła godzina czwarta, nim doszli do lasu w punkcie 16, godzina piąta; tymczasem Czengier już się był cofnął. Zwierow jednak, będąc już raz w lesie, zaczął w nim postępować i rozwinął się drugi ustęp bitwy Grochowiskiej; od strony punktów 10, 10, 10, zaczynają dawać ognia; tworzy się z na-

szej strony kolumna ochotników, postępuje ku punktowi 15 i rozbija zupełnie owe dwie rotę strzeleckie Zwierowa. Przetrzebieni i przepłoszeni Moskale uciekają wreszcie w nieładzie napowrót ku Buskowi, a spotkawszy po drodze wozy i sprzężaje chłopskie, albo też rekwirując je na prędcę, skąd mogą, siadają na nie i pędzą do Pinczowa, gdzie mieli pierwotny rozkaz stanąć przed wieczorem. Jeżeli teraz zapytamy o wysokość strat zadanych i poniesionych w zabitych i rannych, pod Grochowiskami, we wszystkich ustępach tej bitwy, tobym ją szacował według osobistych moich postrzeżeń i kombinacyj, najwięcej na 200 zabitych (z obu stron razem) i tyluż lub nieco więcej rannych. Tymczasem w kilka miesięcy później miałem sposobność rozmawiania w Krakowie z jakimś proboszczem czy wikaryuszem z Buska, czy też okolicy; twierdził, iż był obecny, jak w kilka dni po bitwie trupów, pozbieranych w różnych stronach lasu, grzebano we wspólnym dole, w przytomności księży, i że tych trupów było ogółem pięćset siedmdziesiąt kilka (nie

pamiętam już dobrze, którą z tych dwóch cyfr podawał). Iluby z tej ogółowej liczby przypadło na Moskali, a ilu na Polaków, podać nie umiał i ci, co grzebali, nie wiedzieli, gdyż wszystkie trupy były (jak zwykle po każdej bitwie, gdzie plac boju przez wojska jest opuszczony), całkiem z odzieży odarte i nagie. Cyfra ta, mimo pozornie tak wiarygodnego świadectwa, dużo przesadzona być mi się widzi.

A teraz do przerwanego wracam opowiadania. Welecz pusty był i wyjedzony aż nie do poznania, od 24 godzin. Po naszym wczorajszym noclegu przybyli doń kozacy, później piechota, i co było jeszcze zostało we wsi ze zboża, siana, wódki i wiktuałów, z kretesem wybrali. Dzierżawca uciekł bryczką z żoną, końmi i kosztowniejszym dobytkiem, dworek pusty i z wszystkiego ogołocony zostawując. Nawet woda ze studzien tak była gruntownie wybrana dla koni, żeśmy teraz nie mogli nawet znaleźć dosyć wody do ugotowania sobie herbaty. O chlebie i wódce ani już mowy nie było. Przytułek więc pod da-

chem, jedynem był dobrodziejstwem, które nam Welecz dziś przedstawiał. Dworek Welecki przedzielała sień na dwie połaci; po lewej była spora izba folwarczna z kominkiem, na którym płonął ogień i około którego cisnęli się różni ranni i zdrowi, słowem każdy, co wpadł na myśl dostać się do tej izby; po prawej stronie były trzy izby mieszkalne, jedna od wejścia nieco większa i dwie z tyłu mniejsze. Okryty na wskrós przemokłą od śniegu, a więc nader ciężką burką, przemokły od strony siedzenia, zziębły, znużony, głodny, spragniony, a przytem na wskrós chory, próbowałem dostać się na chwil kilka do owego ognia w izbie czeladnej, ale różni powstańcy, którzy mnie tam byli uprzedzili, zajęli już całą okolicę kominka w posiadanie i każdego intruza ponurem przyjmowali szemraniem. Wróciłem tedy do owych izb stanowiących główną kwaterę, a w których z trzydzieści różnych osób się mieściło; stołków było tylko kilka, reszta więc stała, chodziła lub leżała w kątach na podłodze. Niektórym udało się po-

zasypiać w takich pozycjach, jam oka nie zmrużył, już to chodząc i rozmawiając, już to stojąc oparty o ścianę i próbując znaleźć w tej pozycji nieco wypoczynku dla zemdlonego ciała. Langiewicz siedział po większej części w ostatniej izdebce, już to medytując, już to rozmawiając z pułkownikiem Borzysławskim i generałami Wali-górskim i Jeziorańskim. Na stole u niego stała cienka łożówka, lichy izdebkę oświetlająca, a w około niego leżeli w kątach i pod stołem, w półcieniu, różni powstańcy (zapewne adjutanci lub gwałtygierzy) chrapiąc doskonale. Pan Tomasz, Pustowójtówna i inni przykucnęli w ciemnej drugiej izdebce, na wpół drzemiąc, na wpół czuwając. W taki sposób zeszło nam parę godzin. Naraz około godziny drugiej z rana (a więc właściwie już dnia 19 marca), wyszedł Langiewicz z owej drugiej izby ku mnie i szepnął mi: „Chodźno, szefie, musimy odbyć radę wojenną“. Poszedłem tedy za nim do ostatniej izdebki; żeby zaś sobie ulżyć nieco ciężaru podczas narady i przesuszyć burkę, powiesiłem ją przy

drzwiach z pierwszej do drugiej izby, pierwszy raz lekkomyślnie z nią się rozstając (panował bowiem brzydki zwyczaj, że rewolwery, burki, buty, czapki, manierki i t. d., których się bezpośrednio nie strzeżęło, natychmiast ginęły). Langiewicz zwołał jeszcze do siebie kilku innych oficerów, a wyprosiwszy niepotrzebnych ze swej izby (z wyjątkiem tych, co na podłodze po kątach chrapali), zamknął drzwi i zaczęła się rada wojenna. Brali w niej udział oprócz dyktatora, generałowie Waligórski i Jeziorański, pułkownik kawaleryi Ulatowski (z Sandomierskiego), podpułkownik Borzysławski i ja. Langiewicz zaczął od przemowy, że pragnie usłyszeć nasze zdanie w krytycznem naszym położeniu; bo chociaż odnieśliśmy w dniach ostatnich kolejne nad Moskwą zwycięstwa pod Chrobrzem i pod Grochowiskami, to jednak położenie naszej armii nieszczęgólne: zewsząd jesteśmy ścigani i otoczeni przez różne oddziały rosyjskie, tak że niema już sposobu rekwirować w okolicy niezbędnego furazu i żywności, tabor zaś nasz z zapasami żywności i czę-

ścią gotowej amunicji, przepadł nam pod Chrobrzem; pod Grochowiskami znowu dużo wozów poginęło (zginął także wóz sztabowy Langiewicza, na którym mieściłem w podróżnym worku książki, papiery i mapy wojskowe); według tego, co mu dowódcy różnych oddziałów powiedzieli, większa część piechoty wcale ładunków nie miała; różni strzelcy i ochotnicy mają wprawdzie jeszcze zapas prochu w różkach i kule, ale, wzięwszy przecięciowo ich dostatek z niedostatkiem innych, wypada już tylko po dwa strzały na żołnierza; jest wprawdzie jeszcze jeden wóz z zapasem prochu i ołowiu, ale trzeba czasu i miejsca, żeby z tego ładunki porobić; ludzie i konie w najwyższym stopniu są pomęczeni i zgłodniali, tak że już prawie służby odmawiają; niechętnie też intrygi Mierosławczyków coraz to bardziej w wojsku nurtują i na jaw wychodzą. Czego zresztą nie wiemy, a o czym on z pewnością świeżo się dowiedział, to, że oprócz wszystkich sił rosyjskich, które mamy w okół siebie, wyruszyła jeszcze świeżo z Radomia prze-

ciwko nam dziesięcioletnia dywizya Urusowa. Po takiej wstępnej przemowie dyktatora nastąpiła krótka chwila milczenia. Przerwał je ktoś (ale już nie pamiętam kto) uwagą, że w podobnem położeniu, ponieważ od strony galicyjskiej nie masz jeszcze zwartego oddziału Moskali, tylko, co najwięcej, włóczą się kozacy, najlepiej by więc było cofnąć się nieco ku granicy, zająć podobną jak w Goszczy pozycję i, mając tym sposobem bezpośredni związek z Galicyą i Krakowem, zaopatrzyć się tam w żywność, amunicję, dać odpocząć i pokrzepić się koniom i ludziom, poodsyłać chorych i rannych, uporządkować się i zreorganizować, a potem działać w miarę okoliczności. Na to Langiewicz odpowiedział, że na cofnięcie się ku granicy galicyjskiej w żadnym razie nie pozwoli, gdyż w obecnem wycieńczeniu i usposobieniu wojska, byłoby to, pomimo woli nawet, niechybnem hasłem do nieprzepar- tego salwowania się za galicyjską granicę dla wielu, za którymi poszłaby niebawem całość. Wszyscy uznaliśmy trafność tej uwa-

gi Langiewicza i owa kombinacya odży-
wienia się i zreorganizowania w pozycyi
opartej o granicę galicyjską stanowczo
uchylona została od dalszych rozważ i na-
rad. Langiewicz zwrócił wtedy pytający
wzrok do generała Waligórskiego (czy też
Jeziorańskiego), a ten zaczął w taki sposób:
„Ja mogę tylko powtórzyć to, com już
mówił, że...” Z tego wstępu widocznem
mi było, że już poprzednio, czy to w lesie
Grochowiskim, w pierwszych chwilach na-
szej rozsypki, czy też tu w Wełeczcu, przed
godziną, obszerna w tym przedmiocie po-
między dyktatorem a generałami musiała się
toczyć poufna rozmowa. Po takim tedy wstę-
pie — rozwijał ów generał ciąg myśli mniej
więcej następujący: że, jak doświadczenie
pokazuje, obstawanie przy jednej większej
armii dyktatoryalnej, z którą dyktator nie-
odłącznie niejako związany, jako jej do-
wódzca, politycznym i militarym jest błę-
dem. Politycznym, gdyż czyni dyktatora
i dyktaturę, ów widomy sztandar powstania,
a więc niejako i samóż wielkie ogólne po-
wstanie narodu, zależnemi od przemijają-

cych i zawsze dość niepewnych losów pojedynczego oddziału powstańczego; militarnym, gdyż taka większa armijka, jak nasza, przedstawia wszystkie dezawantaże większej armii, jako to: trudność poruszeń, trudność wyżywienia, potrzebę niezbędną jakiejś podstawy operacyjnej, ze względu na chorych, rannych, na amunicję i inne zapasy, a natomiast żadnego nie przedstawia z awantażów armii, gdyż pokazało się, iż jakkolwiek w licznej kupie, nie dosyć jesteśmy wyćwiczeni, wyrobieni i zorganizowani wojskowo, żeby móżdż w otwartym polu staczać bitwy z nieprzyjacielem; że więc wypada wrócić do systemu drobnych oddziałów, które wszędzie się prześlizną, i wszędzie wyżywią, i że dyktator, jako naczelnik całego wogóle powstania, tak pod wojennym, jak pod cywilnym względem, nie powinien się nieodwołalnie identyfikować z żadnym z tych oddziałów, ale raczej przenosić się, w miarę potrzeby i okoliczności, z jednego teatru wojny na drugi. Po jednym generale zabrał głos drugi z nich, popierając jak najsilniej zda-

nie preopinanta i przychodząc do konkluzji, iż wypada rozdzielić naszą armię na kilka drobniejszych oddziałów partyzanckich, które, łatwiej się pomiędzy otaczającymi nas Moskalami prześliznąwszy, w różne puszcza się strony kraju; że zaś sam dyktator i ci, którychby przy nowych oddziałach partyzanckich zużytkować nie było można, powinni na różne inne teatru wojny i przeznaczenia pospieszyć, na przykład w Kaliskie lub Lubelskie, gdzie, jak słychać, poważne teraz zbierają się siły powstańcze. Spytany z kolei o zdanie pułkownik Ulatowski powiedział, iż mu się zdaje, że lepiej nie rozpraszać armii naszej, ale z całą ku Kielcom pomaszerować, gdzie podobno tylko dwie rotę załogą stoją; moglibyśmy więc łatwo zdobyć Kielce. Na czynione sobie przez Borzysławskiego, Langiewicza i dwóch generałów objekeye, że nie mamy amunicyi i żywności, że trzeba wskazać bliżej, jaką drogą mamy dojść do Kielc i jak się wziąć do zdobywania murowanego miasta, nie odpowiadał Ulatowski ściśle i wprost, ale tylko w kółko powtarzał:

„Nie widzę, czemu nie mamy iść na Kielce, ja znam Kielce; tam nie masz tak wielkich sposobów obrony; moglibyśmy pomaszerować ku Kielcom i t. d.“ Ponieważ argumentacya z tego zaczarowanego kółka nie wychodziła, kielecki więc ten projekt upadł dla braku poparcia należytego ze strony projektującego, równie jak dla braku wszelkiego poparcia z innej strony. Ja milczałem i słuchałem. Borzysławski popierał żywo zdanie Jeziorańskiego i Waligórskiego. Wreszcie Langiewicz, zwracając się do mnie, zapytał: „A szef co?“ Powiedziałem wtedy, że lubo przyznaję dużo teoretycznej słuszności argumentacyi Waligórskiego, Jeziorańskiego i Borzysławskiego, to w praktycznem wykonaniu według tego, co znam ze stanu i ducha naszego wojska, rzecz mi się dużo inaczej przedstawia. Wszystko jest wyczerpane na ciele i animuszu, pod wpływem ostatnich porażek naszych, minowane przez malkontentów i wyglądające tylko lada pozorów i impulsu, żeby się rozprószyć lub cofnąć do Galicyi. W takim stanie rzeczy, odjazd

dyktatora, chociażby nawet dyktator był gdzieindziej potrzebniejszy, dostarczy tego pozorów. Co robić i przedsięwziąć z jakimś sensem wojskowym, na to, przyznaję, nie starczy mi rozumu; ale trzymam się zasady, gdzie rozum rady i wskazówki swojej już odmawia, należy iść za głosem instynktu i uczucia. Otóż w obecnym przypadku, „il y a quelque chose d'odieux“ (pamiętam, że te wyrazy po francusku powiedział, jak mi się to czasem z dawniejszego nąłogu zdarza), żeby, dzieliwszy tak długo różne koleje tej armijki, opuszczać ją właśnie w chwili najkrytyczniejszego jej położenia, i że to może tylko najnieślusniej podać nieprzyjaciółom dyktatora pohop do dyskredytowania go. Langiewicz odparł dość żywo, że nigdyby, choćby skądinąd tego było potrzeba, nie opuścił tego tu wojska po przegranej i wśród porażki; ale że jesteśmy właśnie po dwóch świeżutko odniesionych zwycięstwach, więc podział armii na partyzanckie oddziały i odjazd jego ku innemu teatrowi wojny i ku załatwieniu wiszących jeszcze rozporządzeń

dyktatorialnych rządowych, żadnego niekorzystnego i deprimującego pozoru ani wobec wojska, ani wobec świata mieć nie może. Każdy z członków rady wojennej odzywał się jeszcze dorywczo, mniej więcej w sensie poprzedniego swego zdania, wreszcie Langiewicz reasumując niejako wypadek zdań objawionych (głosowania żadnego nie było), zakonkludował stanowczo: „A więc, Panowie, podzielimy naszą armię na trzy lub cztery oddziały partyzanckie, które natychmiast w różne strony wyruszają, starając się prześlzgnąć śród Moskali; ja zaś i ktoby przy tych oddziałach nie był do użycia, udam się *incognito* do Krakowa (ciągłe przechodzenie granicy galicyjskiej przez powstańców, tam i nazad, i w tajemnicy, było dotąd zwykłą i dość łatwą rzeczą), gdzie ze trzy dni zabawię dla uregulowania stosunków rządowych i cywilnych, potem udam się na teatr wojny w Kaliskie lub Lubelskie“. Decyzja więc już była gotowa i stanowcza, i chodziło tylko o szczegóły wykonania. W oczy biło, że, ażeby takie postanowienie

módz wykonać, należy dyktatorowi bezwzględnie jeszcze przed świtem i nie żegnając się z armią w drogę wyruszyć, gdyż, gdyby przyszło do pożegnań, zaczęłyby się w wojsku sejmiki, protestacye i wszystko, chwytając się tego pozoru, odmówiłoby posłuszeństwa i chciałoby także za granicę podążyć. Langiewicz wziął się więc natychmiast do rozporządzenia szczegółów egzekucyi, żeby módz przed piątą z rana wyruszyć. Zapytał naprzód obecnych, czy który nie życzy sobie wziąć dowództwa jednego z utworzyć się mających oddziałów partyzanckich; ale Waligórski oświadczył, że chce w Olkuskim formować powstanie, Borzysławski, że będzie przygotowywał rzeczy na Podolu galicyjskim, Ulatowski i Jeziorański nie pamiętam już, jaką misyę sobie naznaczyli. Dyktator spytał mnie wreszcie: „A szef co myślisz ze sobą zrobić?” Odpowiedziałem, że, jakem to już w Goszczy mu oświadczył, nie czuję w sobie sił, uzdolnienia i szczególnego powołania do drobnej wojny partyzanckiej po lasach, że się wszelako do rozkazów dyktatora zasto-

sują. Langiewicz odrzekł: „No to zostaniesz szef przy mnie; będę cię potrzebował“. Chodziło jeszcze o obmyślenie eskorty, któraby dyktatora aż do granicy, wśród niepewnej okolicy, konwojowała, i o naznaczenie dowódców dla utworzyć się mających oddziałów partyzanckich. Langiewicz zdecydował, żeby podzielić armię na trzy odrębne oddziały partyzanckie i oddać je pod dowództwo najstarszym rangą oficerom, t. j. generałom Czapskiemu i Śmiechowskiemu, oraz pułkownikowi Czachowskiemu (albowiem niceśmy dotąd nie wiedzieli, że Czapski opuścił pole bitwy Grochowiskiej w chwili jej rozpoczęcia i w tej chwili, kiedyśmy radzili, już był w Krakowie, jako też, że Czachowski odcięty od nas został wśród bitwy i gdzieś już na swoją rękę z batalionem w głąb kraju się zapuszcza); Ulatowski zaś wziął na siebie wyszukać i zebrać pluton ułanów, którzyby mieli jeszcze siły i ochotę stanąć przed godziną piątą z rana na pogotowiu i odprowadziwszy dyktatora aż do granicy, powrócić nazad do jednego z oddziałów.

Ulatowski udał się więc po ciemku na wieś, żeby w sekrecie owych ułanów wynaleźć i przygotować, ktoś zaś inny poszedł szukać Czapskiego, Śmiechowskiego i Czachowskiego, żeby ich zwołać do głównej kwatery. Dyktator tymczasem pisał własnoręcznie stosowny rozkaz dzienny do wojska, który miał się onemuż po jego odjeździe ogłosić, oraz instrukcye i rozkazy dla Czapskiego, Śmiechowskiego i Czachowskiego. Tego wszystkiego jednak nie dał mi nawet do kontrasygnowania, nie wiem tedy dokładnie, co tam stało. Mogła być wówczas trzecia z rana. Kiedym wyszedł z izby Langiewicza po odbytej radzie wojennej, jużem swej burki, u drzwi zawieszanej, nie znalazł; ktoś ją sobie zabrał i jużem jej nie potrafił odszukać. Po jakimś czasie wrócił Ulatowski, powiadając, że pluton ułanów będzie na czwartą godzinę gotowy; ów zaś drugi wysłaniec przyprowadził Śmiechowskiego, raportując jednocześnie, że mu nie sposób było po nocy i wśród śpiących ludzi wynaleźć Czapskiego i Czachowskiego. Dyktator więc

samemu tylko Śmiechowskiemu wręczył w mojej obecności rozkaz dzienny do wojska, oraz rozkazy i instrukcye dla wszystkich trzech dowódców, równie jak pieniądze dla każdego z trzech partyzanckich oddziałów (zdaje mi się po kilkaset rubli na każdy oddział), polecając Śmiechowskiemu, żeby skoro świt wyszukał Czapskiego i Czachowskiego i co komu należy, pooddawał, i dodając jeszcze różne ustne instrukcye, rady i polecenia. Tak rzeczy urządziwszy, ci, co, mieli odjeżdżać, zaczęli w cichości gotować konie swoje do drogi. Ja, widząc drzemiącą w średniej stancyi Pustowójtównę i przewidując, że marnie przepadnie zostawiona, z tymi trzema mniemanymi partyzanckimi oddziałami, zbudziłem ją i powiedziałem tylko: „Gotuj się, moje dziecko, do drogi, nic nikomu nie mów i trzymaj się osoby dyktatora; zresztą on ci sam może co powie“. Pustowójtówna, nieco przerażona i zdziwiona, odpowiedziała tylko: „Jakto? dyktator odjeżdża? To źle!“ Langiewicz uprzedził jeszcze p. Tomasza, Tomczyńskiego i kilku

innych, żeby konie gotowali, bo pojedą z nim na rekonesans. Stało bowiem na tem, żeby dla niknięcia popłochu i rozprężenia w obozie, mówić różnym, około głównej kwatery kręcącym się powstańcom, że dyktator przed świtem na rekonesans wyjeżdża. Nadto, każdy z jadących miał zabrać ze sobą swoich adjutantów. Tymczasem minęła godzina czwarta z rana, dnia 19 marca, zaczynało już szarzyć na świecie, świtać, a owa eskorta ułańska jeszcze się nie była wyguzdrała i coraz to rosnący zakres orszaku dyktatorskiego opóźniał wyruszenie. Wreszcie około godziny piątej lub szóstej z rana, zebrało się wszystko, co miało z dyktatorem jechać i nieco niewzywanych do tej wyprawy wolontaryuszów i wyruszyliśmy konno ze wsi w kierunku południowym. Dyktator pytał mnie nieco wprzód, w związku z owym wczorajszym zapytaniem w lesie Grochowskiem, o najkrótszą i najbezpieczniejszą drogę do granicy galicyjskiej, a ja w odpowiedzi wskazałem mu z pamięci Wiślicę i Nowe Miasto nad Wisłą. Drogę do Wi-

ślicy on już sam przeznaczył. Ponieważ dzień już zaczęło, kiedyśmy Wełecz opuśczeni, tu i ówdzie więc zbudzony chłop lub powstaniec z zadziwieniem patrzył na tak tłumną wycieczkę dyktatora w pole, i wiadomość o niej zapewne się niebawem wśród opuszczonego przez nas wojska rozniosła. Hufiec nasz składał się: z eskorty ułańskiej, kilkanaście koni wynoszącej pod bezpośredniem dowództwem młodego rotmistrza Dobrzańskiego, a zwierzchnim kierunkiem pułkownika Ulatowskiego, dalej, z dyktatora z adjutantami (miał ich czterech), z generałów Waligórskiego i Jeziorańskiego z ich adjutantami, z pułkownika Borzysławskiego, z p. Tomasza (intendenta generalnego, który bardzo niechętnie przyjął wiadomość o tym wyjeździe), z Pustowójtówniej, ze mnie, z dwoma mymi adjutantami, i z kilku gwałtygierów i galopenów dyktatora, którzy, bądź to przez niego uprzedzeni, bądź też dobrowolnie do orszaku się przyłączyli; ogółem 35 do 40 koni. Szpica ułańska jechała na kilkadziesiąt kroków naprzód, takąż z tyłu i ekle-

rery po bokach. Ranek był pogodny, ale mroźny, ja więc, niewywczasowany, niewysuszony jeszcze od wczoraj, chory, głodny i tylko w barankowej kurcie powstańczej (bo mi burkę zabrano), trząsałem się od zimna. Widząc to, Langiewicz kazał swemu człowiekowi od koni, który luźne jego konie wierzchowe prowadził, dać mi do okrycia jakąś elegancką derę zapaśną. Była to widocznie kołdra, włóczkowej roboty damskiej, w różnokolorowe kwadraty i desenie, podbita amarantowym floransem; jak się później okazało, pochodząca z Chrobrza, i zapewne roboty samej pani margrabiny. W tę tedy kołdrę obwinałem się na kształt hiszpańskiego płaszcza i takjechałem aż do Wiślicy, wyglądając na jakiegoś cygańskiego dowódcę. Już to kłusując, już to stępa jadąc i chwilami się zatrzymując, dojechaliśmy do Wiślicy około godziny dziewiątej lub dziesiątej z rana. Zatrzymaliśmy się na chwilę na rynku tego miasteczka, żeby sobie bułek kupić i wódki się napić. Część zsiadła z koni, wstępując do austeryi na ciepłą kawę;

dyktator zsiadł także, ja zostałem na koniu w środku rynku. Pojawienie się nasze ogromną wywołało sensację w żydowskiej tej mieścinie. Wreszcie, kiedy się nasz pobyt przedłużał, mędrsze żydy, obawiając się, żeby Moskale nas nie ścigali i nie przyszło stąd śród ich miasteczka do bitwy, i chcąc się co rychlej nas pozbyć, do następującego uciekli się fortelu: Jeden z żydów przystąpił do pozostałych na rynku jeźdźców i wskazując na pole w oddali, zawołał; „Ny, Panowie, a to Ruski idą!“ Spojrzałem we wskazanym kierunku, alem nic nie spostrzegł, jak tylko jakieś szarzące czy czerniące się w oddali linie, które prawdopodobnie od drzew lub płotów w polu pochodziły. Wykrzyk jednak żyda sprawił swój skutek. Rozległo się na rynku wołanie: „Ruski idą!“ Żydówki jęły z pospiechem, i w głos lamentując, unosić swoje stragany z kukiełkami; bachory przebiegały przez rynek, wrzeszcząc przeraźliwie: „Aj waj! Ruski idą“. Drzwi i okiennice z trzaskiem się zamykały, żydzi i żydówki, biegnąc tam i sam i lamentując

straszliwie, gubili w błocie pantofle i przewracali się ze strachu i pospiechu, słowem popłoch nieopisany. Popłoch ten udzielił się części eskorty i jeźdźców i już niektórzy zaczęli się rozpraszać, salwując się w różne strony. Kilku z nas jednak, dobywszy rewolwerów, zdołało wstrzymać ucieczkę i zgromadzić rozpraszających się w jeden zwarty hufiec. Dyktator i ci, co byli z nim na kawie, powsiadali co prędzej na konie i w szyku bojowym wyjechaliśmy z miasteczka, drogą ku Wiśle. Przekonaliśmy się rychło, że alarm był fałszywy; ale zamiast drogą ku Nowemu Miastu, kazał dyktator zwrócić się drogą ku Opatowcu, zapewne dla tego, że pod Nowym Miastem nie było gotowej przez Wisłę przeprawy (jakem to mylnie mniemał, na mojej mapie specjalnej się opierając). Na pół mili może od Opatowca, zatrzymaliśmy się około południa w jakimś dworku dzierżawcy, tuż przy drodze. Tu usłyszeliśmy, że generał Czapski już poprzedniego wieczora tędy przejeżdżał, zdążając ku Krakowu i głosząc, że cała armia Langiewicza

rozbita i rozproszona¹⁾. Tu także około pierwszej z południa przyszedł do dyktatora krótki raport od generała Śmiechowskiego z Wełeczka, donoszący, że Czachowskiego i Czapskiego nie masz w obozie, iż wojsko bardzo nieukontentowane i chce także ku granicy ciągnąć. Langiewicz odpowiedział Śmiechowskiemu krótkim rozkazem, ażeby nie ważył się cofać ku Galicyi i ażeby w inny sposób rozdzielił dowództwa nad pojedynczymi oddziałami partyzanckimi. Nie przebywając jeszcze nigdy w tak licznej towarzystwie galicyjskiej granicy, nie miałem jasnego wyobrażenia, jak to będzie z naszą bronią i końmi; myślałem jednak oczywiście, że je zatrzymamy, ile że wybornego miałem konia i doskonały rewolwer. Tu jednak powiedziano mi,

1) Generał Czapski tłumaczył się później, że w pierwszych chwilach bitwy Grochowskiej, kiedy kawalerya uszła na prawo w las i mokradła, uszykowawszy ją napowrót, odjechał nieco na bok dla zrobienia rekonesansu i że wtedy Moskale odcięli go od jego kawaleryi tak, że nie miał innego wyboru, jak próbować dostać się do Krakowa.

na zasadzie rady i objaśnień jakiegoś nadgranicznego szlachcica, który w tej chwili, pojawiwszy się nie wiem skąd, odgrywał przy dyktatorze rolę agenta przeprawy przez granicę, że konie wprawdzie zatrzymamy, bo temu Austriacy się nie sprzeciwiają, ale że broń naszą musimy tu popakować w worki i oddać ją owemu szlachcicowi, który ją potajemnie przez granicę przewiezie i zaraz za granicą każdemu, co jego, pozwraca. Każdy więc opatrzył swój pałasz, rewolwer, strzelbę w kartkę ze swoim imieniem i nazwiskiem i oddał je niezmordowanemu intendentowi generalnemu, Tomaszowi Winnickiemu¹⁾, który to wszystko w kilka wielkich worków popakował. Ułańska eskorta dyktatora oczywiście lanc swoich i broni nikomu nie oddawała, bo miała ona od tego tu właśnie punktu, po-

¹⁾ Teraz mi się nagle przypomniało, że ów p. Tomasz, poprzednik mój w szefostwie sztabu przy Langiewiczzu, a potem intendent nasz generalny, zwał się Tomasz Winnicki. Ilekroć więc poprzednio o panu Tomaszu jest mowa, zechciej domyślać się Winnickiego.

żegnawszy dyktatora, wrócić do swego pułku. Ale jakoś nie szło sporo z tym powrotem. Z początku nazywało się, że ułani muszą tu odpocząć i popaść konie, co też uczynili na dziedzińcu przed dworkiem. Kiedy konie już napaszo i napojono, pułkownik Ulatowski (który, zdaje mi się teraz, w pierwotnym projekcie miał także z ułanami do swego pułku wrócić), wychodził co kwadrans z dworku, wołając: „kieżnać konie!“ albo: „Do koni!“ Już się nawet parę razy zdawało, że ułani siadają wreszcie na koń, ale jakoś znowu się odwlekało od kwadransa do kwadransa, od godziny do godziny, aż w końcu zostali i przebyli Wisłę mniej więcej jednocześnie z nami. Nacośmy, t. j. Langiewicz ze sztabem, w tym dworku od południa aż do wieczora prawie czekali, tego sobie jasno wykombinować nie mogłem. Być może, iż Langiewicz chciał, zanim Wisłę przejdzie, jakąś zaspakajającą usłyszeć wiadomość od swojej armii. Wistocie około czwartej po południu nadszedł drugi raport od generała Śmiechowskiego, ale datowany już

z Wiślicy po południu i donoszący, że wojsko na oddziały partyzanckie rozdzielić się nie chciało, że wszystko chce iść ku granicy galicyjskiej, ile że Moskale z daleka napierać zaczynają, że on rad nie rad musi ogólnemu popędowi ulegać i że cała armia jest już w Wiślicy. Langiewicz napisał natychmiast własnoręcznie obszerny i surowy rozkaz do Smiechowskiego, zakazujący mu pod najsurowszą odpowiedzialnością osobistą cofać się dalej ku granicy galicyjskiej i dający mu różne instrukcje. Dał mi potem gotowy ten rozkaz do kontrasygnowania i wysłał go bezzwłocznie Smiechowskiemu. Tymczasem słońce się już zniżało, a my wciąż w dworku owym i koło dworku stali. Biegająca tuż koło niego droga z Wiślicy do Opatowca nad Wisłą ożywiała się coraz bardziej w nader smutny sposób: chmary różnych powstańców, konnych i pieszych zdążały na własną rękę i nic już nie pytając ku Wiśle. Kiedyśmy wreszcie około godziny piątej po południu wsiedli na koń i do Opatowca odjechali, widoczną było, że zaledwie może

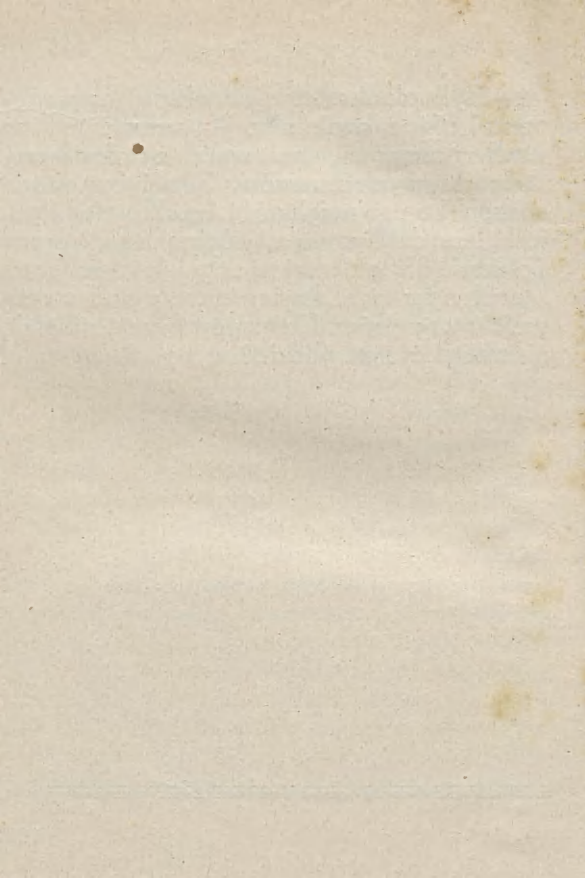
już być mowa o jakimś przebyciu *incognito* granicy; wybrzeże bowiem Wisły i promy na Wiśle pokryte już były mnóstwem najrozmaitszych powstańców, bądź to przepływających się przez rzekę, bądź cisnących się tłumnie do przewozu. Wisła w tym punkcie była wtedy bardzo szeroka i bystra; promów było tylko coś dwa czy trzy, a każdy potrzebował blisko trzy kwadranse, żeby przebyć Wisłę i wrócić napowrót. Cała nasza kupka sztabowa rozprószyła się tutaj i każdy myślał o sobie. Stałem tak czas niejaki nad rzeką, od adiutantów moich nawet opuszczony, tylko z moim człowiekiem od koni, i patrzyłem jak koledzy, to tu, to ówdzie na jakiś prom, statek lub czołno się docisnąwszy, Wisłę przebywali. Ujrzałem w niejakiem oddaleniu, jak Langiewicz wsiadł na małe czołenko z Pustowójtówną tylko, bez koni i bez żadnego towarzystwa i ku galicyjskiemu brzegowi popłynął. Od tej chwili jużem go więcej na moje oczy nie widział. Wreszcie docisnąłem się i ja z moim koniem i ordynansem na jakiś prom, wielki

wprawdzie, ale stary i uszkodzony. Mimo ostrzeżeń i wołania przewoźników, że prom popsuty i że wielkiego nie znieś ciężaru, wpakowało się nań tyle ludzi i koni, ile się tylko zmieściło. Kiedyśmy odbijali od brzegu, jakiś brodaty oficer od naszej piechoty, przybiegł do brzegu, a dobywszy rewolweru, zaczął nim mierzyć na prom, wrzeszcząc na całe gardło: „Gdzie jest ten gałgan Langiewicz, ten zdrajca, w łeb mu wypalę“. Ponieważ lufa rewolweru wprost na mego siwego konia była wymierzona, na wpół z troski o mego nieocenionego konia, na wpół żartem zawołałem: „Tylko bardzo proszę nie w mojego siwka, bo on nic nie winien“. Zaczęto się śmiać w około i ów groźny mściciel, zdekontenansowany nieco, opuścił pistolet, dalej wymyślając. Prom tak był napakowany, a przytem tak zły, że zaczął wody nabierać i byliśmy parę razy bliźcy zatonięcia. Zaczęto jednak szuflami i czem kto mógł cisnącą się wodę wybierać i po trzech kwadransach uciążliwej przeprawy dobiliśmy do galicyjskiego brzegu przy wsi Ujście. Tam już wszystko

oddawna gotowe było na nasze przyjęcie. Huzary węgierskie rozstawione u brzegu odbierały wszystkim powstańcom konie, ludziom zaś wskazywali, gdzie się zameldować należało austriackim cywilnym komisarzom. Nie mogąc się z huzarami dogadać, bo umieli tylko po węgiersku, a oficera nie było widać, towarzyszyłem odprowadzeniu mego konia na klepisko jakiejś stodoły, gdzie już z dziesięć koni stało pod strażą huzarskiego posterunku i podszedłem potem ku owemu murowanemu domowi, gdzie się wszyscy meldowali. Nie mając jednak ochoty dostania się do austriackiej niewoli lub pod kontrolę austriacką, obszedłem tylko dom w około, nikomu się nie zameldowawszy i wróciłem nad brzeg, pytając o huzarskiego oficera, żeby z nim załatwić sprawę konia, moją prywatną własnością będącego. Wskazano mi karczmę, w której stał kwatery. Wszedłem, ale kwatery pełna była różnych powstańców, którzy z oficerem pili herbatę, pącz, fraternizowali, ściskali się i nieźle byli już podochoceni, tak że nie sposób było do-

gadać się. Wróciłem więc znów ku brzegowi i siadłszy na kłocu, medytowałem w samotności, co ze swoją figurą robić. Słońce już było zaszło i zmrok zapadać poczynął. Wtem przystąpił do mnie jakiś ekonom czy oficjalista gospodarski i grzecznie oświadczył, że przyjeżdża z sąsiedniej wsi hr. Załuskiego (nazwy nie pamiętam), że tam we dworze jest już dyktator i inni panowie, żebym więc siadł na jego bryczkę i jechał z nim do owego dworu. Czy go kto po mnie posłał, czy robił to z własnego natchnienia, nie wiem. Gorzko wszystkiem, co zaszło, do świata i ludzi zniechęcony, nie przyjąłem zaprosin. Przenocowawszy sam jeden z ordynansem u chłopca na wsi, o świcie dnia 20-go marca udałem się do owej stodoły, gdzie postawiono mego konia, żeby go jakoś wydostać. Tymczasem dzielnego mego siwka już nie było; stało tylko jeszcze parę szkaradnych wywłok pod strażą huzara. Oficer, który tymczasem był nadszedł, tłumaczył mi, że w nocy, już to różni żydzi, wołając, że to ich konie, albo jakieś papierki niby kontrakto-

we, czyli plenipotencyjne okazując, poroz-
bierali różne konie albo je pozamieniali, na
wpół przemocą, na wpół oszołomiwszy
dobrodusznych huzarów. Straciwszy w ten
sposób konia, nająłem furkę chłopską i po-
jechałem do Tarnowa, gdzie stanąłem przed
południem w głównej oberży. Już tam prze-
bywał od rana Langiewicz, ale pod strażą
wojskową; prócz Pustowójtówny, nikt się
nie mógł z nim widzieć.....



SZKIC SPOTKANIA POD CHROBRZEM



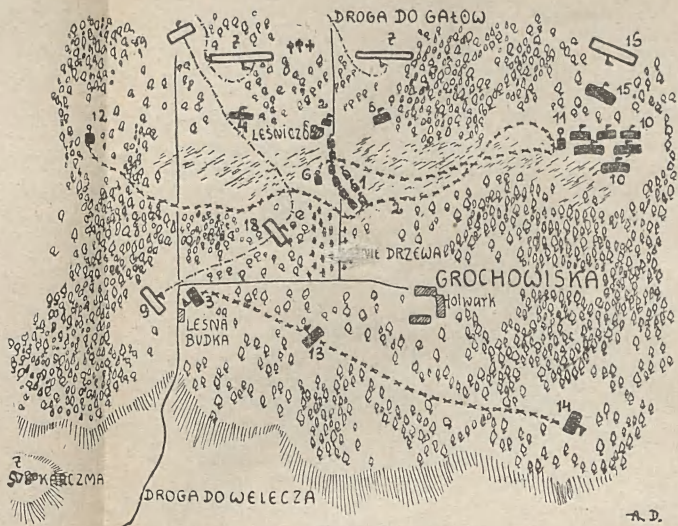
STANOWISKA WZAJEMNE W POCZĄTKU BITWY:

- 1. KOLUMNĄ MARSZOWĄ KORPUSU LANGIEWICZA — 2. BATALION ŻWAWÓW POD ROCHEBRUNEM I PÓŁ PLUTONU WŁANÓW — 3. BATALION STRZELCÓW POD CZACHOWSKIM. — 4. PIECHOTA CZENGLIE: REGO — 5. DZIAŁA — 6. SZWADRON DRAGONÓW — 7. KOZACY.

STANOWISKA WZAJEMNE POD KONIEC BITWY:

- 4. ARMIA LANGIEWICZA W SZYKU BOJOWYM — 5. ROCHEBRUNE — 6. CZACHOWSKI — 7. ARTYLERYJA — 12. GŁÓWNA SIŁA CZENGLIEREGO — 13. ARTYLERYJA — 14. DRAGONI — 15. KOZACY — 16. KOLUMNĄ DOTĄSZYJĄCEGO ATAKU OD STRONY CHROBRZA PRZEZNACZONA.

A.D.



STANOWISKA WZAJEMNE:

1. ARMIA LANGIEWICZA W KOLUMNIE MARSZOWEJ — 2. PRZEDNI POLSKI POSTERUNEK
 3. TYLNA STRAŻ POD CZACHOWSKIM — 4. ŻUAWY POD ROCHEBRUNEM — 5. POLSKA
 KOMPANIA STRZELECKA — 6. DYKTATOR ZE SZTABEM. — 7. GŁÓWNA SIŁA ROSYJ-
 SKA W SZYKU BOJOWYM — 8. ARTYLERYA ROSYJSKA — 9. ODDZIAŁ ATAKUJĄCY W
 WELĘCZA — 10. ARMIA LANGIEWICZA PO ROZSYPCE — 11. 12. LANGIEWICZ ZE SZTA-
 BEM — 13. 14. CZACHOWSKI W DAŁSZYM CIĄGU BITWY — 15. POLSKA KOLUMNA
 OCHOTNIKÓW — 16. KOLUMNA ROSYJSKA ZWIĘROWA CZY GAŹRYŁOWA — 17.
 DRAGONY ROSYJSKIE — 18. 19. ATAK ROSYJSKI OD WELĘCZA W DAŁSZYM CIĄGU
 BITWY.

SZKIC BITWY POD GROCHOWISKAMI
 MIĘDZY LANGIEWICZEM A CZENGIEREM 1863.

DYKTATURA LANGIEWICZA
 MARSZE OBU ARMII OD 1-9 MARCA 1863.

